

**Robert M. Wegner**

**Ostatni lot Nocnego Kowboja**

Nocny Kowboj przelatywał nad równiną Santa Monica chyba po raz setny w swojej karierze zwiadowcy. Tak właśnie lubił o sobie myśleć, nie jak o latającym szpiegu, ale o zwiadowcy, nieustraszonemu śmiałku, który naraża się codziennie w samotnych rajdach, aby jego kumple-żołnierze z sił lądowych nie wpadli w zasadzkę.

Czasami wyobrażał sobie, że kiedy on wykonuje kolejną misję, w bazie generał Marshall chodzi po sztabie od ściany do ściany i przygryzając sumiastego wąsa, mamrocze zaniepokojony: „Gdzież on jest, do cholery?”. A wtedy nagle miga sygnał rozpoznania i na trawiastym pasie ląduje szybowiec. Generał wychodzi z kwatery szybkim, ale spokojnym krokiem, pomaga mu wydostać się z kabiny, ścisną dłoń i mówi rozpromieniony: „Dobra robota, synu”. Potem może wreszcie pójść do kantyny, gdzie paru marines wita go poklepywaniem po plecach i gwizdami, jeden lub dwa drinki, partyjka bilardu i do łóżka.

Obszar, który właśnie przemykał pod nim, rozległa równina porośnięta gęstym, tropikalnym lasem, cieszył się ponurą sławą. Przez ostatnie pół roku prawdopodobnie właśnie w tym miejscu zestrzelono osiem szybowców. Dwa Pióra, Batman, Dzikus, Bambi i paru innych znikło gdzieś tutaj. Najpewniej ostatnią rzeczą, jaką widzieli, była rakietą ziemia-powietrze lub długi sznur świetlnych pocisków prujący w ich stronę pomiędzy drzew. No cóż, to była ziemia niczyja, oddzielająca rejony kontrolowane przez wojska generała Montoyi i jego amerykańskich sprzymierzeńców od dżungli, którą władali partyzanci komendanta Guadalahary wspierani przez Unię Południowoamerykańską.

Parę mil przed sobą widział wzgórze Marrachas i wznoszące się po ich stromych bokach kolumny ciepłego powietrza. Tam będzie mógł nabrać z pięćset jardów wysokości.

Ta noc była dobra, ciemna, bezksiężycowa, z niebem przykrytym grubą warstwą chmur. Dżungla parowała wilgocią i ciepłem, oddając energię zgromadzoną za dnia. Prawdopodobieństwo, że czyjeś wrogie oczy lub czujniki wykryją jego aksamitnoczarny szybowiec było praktycznie równe zero. Doleciał do wzgórz i zataczając coraz szersze kręgi, zaczął się wznosić. Czuł delikatną pieśczołą rozgrzanego powietrza muskającego mu skrzydła i brzuch. W takich chwilach miał nieodmiennie ochotę zamknąć oczy i pozwolić, by fala ciepła zabierała go coraz wyżej i wyżej. Aż do gwiazd.

Niestety, około tysiąca stóp nad wzgórzami ciepłe powietrze znad tropikalnego lasu zderzało się z dużo zimniejszym, pochodzącym z odległych o kilkadziesiąt mil gór. Czerwone, niebieskie i szare termiczne smugi zaczynały się mieszać, tworząc wiry, strumienie i rzeki, dające silny, dość nieprzyjemny wiatr wiejący akurat z północnego zachodu. Wykorzystał go do nabrania jeszcze dziewięciuset stóp wysokości i poleciał na południe, tam gdzie wczoraj satelita zauważył niezwykle aktywność. Być może właśnie tam partyzanci odbierali kolejną partię automatów bojowych i broni zakupionych przez Unię w Chinach, Indiach lub Singapurze. Zniszczenie transportu, zanim ludzie Guadalahary rozproszą go po dżungli, byłoby dużym sukcesem.

Niemal nad głową miał warstwę chmur, widoczną jako szaroniebieski, chłodny dywan. Ich temperatura wskazywała na to, że za jakieś dwie godziny zrzucą swój wodny balast wprost na wciąż rozgrzany las. Nie lubił latać w deszczu, prądy ciepłego i zimnego powietrza bardzo szybko mieszały się ze sobą, tworząc mozaikę barw, od której bolała go głowa. Na dodatek samo latanie stawało się nie lada sztuką. Woda potrafiła zwiększyć ciężar szybowca o kilkadziesiąt funtów i kilkakrotnie musiał w czasie takich lotów używać „dmuchawy”. Wstyd, hańba i ryzyko zestrzelenia sprawiały, że robił wszystko, by unikać deszczu.

Na szczęście dwie godziny to wystarczająco dużo czasu. Zdaży dolecieć, rozejrzeć się, zrobić

zdjęcia i wrócić.

Leciał jakieś tysiąc dwieście stóp ponad szczytem najwyższego wzgórza, obserwując dżunglę. Wbrew pozorom wcale nie była jednostajna, plamy termiczne nadawały jej wygląd modernistycznego malowidła.

Potrafił po kolorach rozpoznać, jakie drzewa dominują w danym miejscu. Nie znał wprawdzie ich prawidłowych nazw, bo tego nie obejmowało szkolenie, ale od czego jest wyobraźnia. Razem z innymi pilotami nadawali różnym gatunkom drzew własne nazwy, tworząc prywatną, termiczną mapę lasu, według której często latali. Mapa ta, pozwalała nie tylko zorientować się, nad jakim obszarem lecą, ale też mówiła, jakie warunki panują aktualnie na dole i czego można się spodziewać w najbliższym czasie. Na przykład „drzewka Bambi” były jednolicie czerwone, najszybciej oddawały ciepło i o tej porze wyróżniały się na tle lasu.

Później przygasały, chyba, że zanosilo się na burzę, wtedy ich liście zwijały się w trąbki, a drzewa świeciły niemal całą noc równomierną, czerwonałą poświatą.

Za to „żarówki” potrafiły, niezależnie od pogody, przez całą noc świecić jednakowym, szaroróżowym blaskiem.

Były jak stałe drogowskazy. Albo „bolliby”, zewnętrzna część koron tych drzew była przez pierwsze pół nocy znacznie jaskrawsza od okolic pnia. Później proporcje ulegały odwróceniu. Przed sobą, nieco z lewej, zobaczył koronę drzewa wyglądającą jak obwieszona lampkami choinka. Pewnie stado małą obsiadło gałęzie, szukając bezpiecznego noclegu.

Pośród tej utkanej z ciepłych barw mozaiki, widział smugi kryjących się pod listowiem strumieni i potoków.

Największa rzeka w okolicy, Yollanda, wyglądała z tej odległości jak olbrzymia, szaroniebieska anakonda.

Głównym powodem wdrożenia w życie planu „Nocne Oczy” była dokładność. Obserwacja satelitarna tego regionu dawała niezłe rezultaty średnio przez miesiąc w roku. Przez resztę czasu gęste chmury, ukształtowanie terenu i termiczny płaszcz tropikalnego lasu uniemożliwiały lokalizację partyzanckich baz i oddziałów. Uderzeniowe grupy marines wysyłane w teren na podstawie danych satelitarnych dokonywały na ogół bohaterkich ataków na stada, Bogu ducha winnych, ptaków i małą lub wpadały w sprytnie zastawiane pułapki. Po dwóch latach takich kompromitacji ktoś w Pentagonie doszedł wreszcie do wniosku, że analiza i interpretacja danych uzyskiwanych z odległości tysięcy mil jest zbyt niedokładna.

Powołano więc „Cienie”, specjalną jednostkę rozpoznawczą, do jej zadań należało sprawdzanie i weryfikowanie danych satelitarnych, podczas lotów nad dżunglą, czasami na wysokości koron drzew. I „Cienie” spisywały się świetnie, mimo początkowych strat ich sukcesy przekonały większość sceptyków w Kolegium Połączonych Sztabów o przydatności szybowców w tej wojnie.

Z drugiej strony nazwanie G-22b „szybowcem”, to tak jakby powiedzieć o F-38 „samolocik”. Najnowszy „Cień” kosztował prawie tyle samo, co supernowoczesny myśliwiec. Zbudowany w całości z kompozytów, zawierający mniej metalu niż postrzelona w kuper kaczka i więcej elektroniki niż bombowiec strategiczny, był niemal żywą istotą, złączoną w jedno ze swoim pilotem. Na ekranach najlepszych radarów dawał echo przelatującego kolibra. System aktywnego maskowania zmieniał jego zewnętrzne ubarwienie w zależności od terenu, nad którym leciał. A turbopulsacyjny, ceramiczny silnik uniezależniał go od kaprysów pogody. Praktycznie rzecz biorąc, jedynym sposobem wykrycia szybowca była obserwacja wzrokowa. Jak za czasów Czerwonego Barona.

Partyzanci nie pozostawali jednak w tym wyścigu stroną bierną. Wspomagające ich automaty zostały w krótkim czasie wyposażone w najnowocześniejsze systemy optorozpoznawcze. A że

niektóre misje były wykonywane w znacznie trudniejszych warunkach niż jego dzisiejszy lot, więc i bojownikom Guadalahary przypadły w udziale pewne sukcesy.

Dlatego Nocny Kowboj wcale nie czuł się bezkarny, wkraczając na ich teren. Jaguary potrafiły kąsać i gryźć, a robiły to coraz skuteczniej, gdy wojna ugrzęzła w martwym punkcie. Odkąd w kraju stłumiono ostatnie ogniska rebelii, a prezydent Johnson wygrał wybory pod hasłem „Odbudowa i Przebaczenie” zaangażowanie Stanów w walkę z Unią poza granicami znacznie zmalało. A co za tym idzie, zmalały fundusze. Przed rokiem oddział Kowboja liczył dwadzieścia cztery maszyny – teraz zostało ich już ledwie jedenaście, z czego dwie nadawały się tylko na części. Pilotów, łącznie z nim, było tylko dziesięciu.

Ale to już zupełnie inna sprawa.

Te, dość ponure, rozmyślania przerwał mu widok doliny wyrastającej tuż przed nosem. Kilka olbrzymich, lekko zdeformowanych kręgów świeciło w dole jaskrawą czerwieńią. Słupy ciepła biły w górę, żarząc się niezdrową poświatą.

Bomby termogeniczne, zakazana broń.

Zawartość tych pocisków rozpryskiwała się w promieniu kilkuset jardów, pokrywając wszystko kleistą mazią. Substancja ta, w zetknięciu z powietrzem zaczynała wydzielać ciepło. Odpowiednik wybuchu semtexu, rozciągnięty z pikosekund w tygodnie. W ciągu godziny cały obszar osiągał temperaturę około dziewięćdziesięciu pięciu stopni Celsjusza. Za mało na ogień, dość by zabić każdą żywą istotę, która nie mogła uciec. Cała roślinność wysychała i obumierała. A specyfika lasu tropikalnego polega na niezwykle płytkiej warstwie gleby, na jakiej on rośnie. Zaś zawartość bomb była niezwykle efektywnym środkiem roślinobójczym nawet wtedy, kiedy temperatura wracała do normy. Żadna młoda roślina nie miała szans na zajęcie tego terenu. Gleba jałowiała w zastraszającym tempie i po dwóch, trzech latach na obliczu dżungli pojawiały się pustynne wrzody. A był to jeden z nielicznych dziewiczych lasów tropikalnych, które przetrwały szaleństwo drzewobójstwa przełomu wieków.

Nocny Kowboj nie potrafił zrozumieć ludzi podejmujących decyzje o użyciu takiej broni.

Partyzanci nie byli roślinami, nawet w tej chwili mogli przebywać na terenach objętych eksplozjami. Za to za dzień lub dwa agencje informacyjne całego świata pokażą kilka tysięcy akrów zniszczonej dżungli, oskarżając Amerykanów o prowadzenie wojny totalnej i niszczenie biologicznego dziedzictwa ludzkości.

Nawet jeśli w tej dolinie znajdowały się partyzanckie bunkry, nie należało stosować takich środków. Bomba paliwowo-powietrzna byłaby skuteczniejsza, podobnie zresztą jak stary, dobry napalm. To właśnie głupota wojskowych siedzących parę tysięcy mil stąd i wydających absurdalne rozkazy była główną przyczyną patowej sytuacji w tej wojnie.

Już dawno można było ją wygrać. Tak przynajmniej twierdził sierżant Sunwood, a jemu w tych sprawach można było ufać.

Porównał ukształtowanie terenu z danymi satelitarnymi. Do rejonu zwiadu zostało mu jeszcze kilka minut. Przelatując nad miejscami bombardowania, wykorzystał kolumnę ciepła i schował się w chmurach.

Mógł już spokojnie lecieć na oślep. Delikatnie poruszył skrzydłami, dostosowując ich kąt natarcia i geometrię do nagle zwiększonej wilgotności powietrza. Na płatach, lotkach, klapach i kadłubie zaczęły się osadzać kropelki wody. Nic groźnego, na razie, ale uwzględniając powierzchnię całego szybowca musiał się liczyć ze znacznym zwiększeniem masy maszyny.

Na dodatek woda utrudniała obserwację, ale taki był koszt ukrycia się przed wrogim wzrokiem.

Już po czterech minutach dodatkowy ciężar zaczął go ciągnąć w dół, mógł zwiększyć kąt natarcia, ale oznaczałoby to sporą utratę prędkości, którą musiałby potem nadrabiać, tracąc też

wysokość. Zrezygnował zatem z ochrony chmur, obniżając lot dwie mile przed celem. Wpadł w strumień-ciepłego powietrza i w parę chwil pozbył się nadmiernego balastu. Od razu też wyostrzył mu się wzrok.

Przed nim wyrastało ostatnie wzgórze, granicą między lądem i morzem. Wywiad donosił, że gdzieś tutaj znajduje się przystań, przez którą partyzanci otrzymują sprzęt. Widział nad szczytem jaskrawe smugi ciepłego wiatru od morza, wyglądało na to, że będą to stałe i silne podmuchy. Zdecydował się polecieć na północ, a potem przeprowadzić obserwację, zygzakując wzdłuż brzegu. To, co straci lecąc z wiatrem, odzyska przy nawrocie.

Cały plan wydawał się dobry, ale jak wszystkie tego typu plany niemal od razu wziął w łeb. Ledwo wziął kurs na północ macnęła go wiązka radarowa. Niby nic nadzwyczajnego, ludzie Guadalahary używali lekkich, prostych radarów produkcji rosyjskiej do rozpoznawania celów i nakierowywania rakiet. Także część automatów wyposażona była w radary. Ale ta wiązka była inna, nie pasowała do wojskowego sprzętu.

Określił jej źródło z dokładnością do paru jardów.

Blisko, ledwie dwie mile na północny-zachód, na morzu. A więc statek i to taki, który nie bał się rozpoznania, nie czuł respektu przed aktywnymi systemami antyradarowymi. Skierował się w jego stronę. Wiązka znów liźnęła go po kadłubie, jednak mógł zostać wykryty dopiero wtedy, gdyby sam włączył swój radar, radio i światła na dodatek. Albo gdyby wylądował im na antenie.

Wyskoczył zza wzgórza wprost nad morze. Milę od brzegu zobaczył statek. Śnieżnobiały, z rzędami jaskrawo oświetlonych iluminatorów i pokładem rojącym się od ludzi! Dał zbliżenie i prawie go zatkało, na górnym pokładzie trwała w najlepsze feta. Panie w wieczorowych sukniach, panowie we frakach i smokingach, wszyscy wirowali w rytm przygrywającej im orkiestry.

Odczytał nazwę: „Wiosenny Kwiat” z Yokohamy, japoński wycieczkowiec.

Zerknął do swoich danych. Faktycznie, taki statek figurował na liście jednostek upoważnionych do pływania po tych wodach. Sam generał Montoya wydał stosowne zezwolenie. Nie wiadomo tylko, czy partyzanci zechcą je respektować.

Przeleciał nad wycieczkowcem, robiąc serię zdjęć, w sztabie będą musieli zdecydować, co z tym fantem zrobić. W końcu cywilne jednostki neutralnego kraju nie powinny się kręcić po strefie wojny. Zawrócił w kierunku brzegu. Wiejący z tyłu wiatr nie ułatwiał mu lotu, ale miał wystarczającą wysokość, żeby się nie przejmować. Minął rozświetlony statek od rufy i już po chwili był nad lądem. Całą uwagę poświęcił wypatrywaniu anomalii. Było to dość łatwe, gdyż las porastający linię brzegową składał się w większości z mizernych drzewek rozrzuconych tu i ówdzie.

Nic jednak nie wypatrzył. Zarówno w podczerwieni, jak i w ultrafiolecie cały obszar wyglądał zwyczajnie.

Być może krótkie mignięcie radarową lampką pozwoliłoby odkryć coś jeszcze, ale po pierwsze byłoby to najpewniej tylko kilka pordzewiałych gwoździ, a po drugie musiałby się od razu zabierać do domu. Zrobił zwrot i skierował się ku morzu.

I wtedy to zobaczył. Być może zawdzięczał to odpływowi, a może po prostu los był dla niego łaskawy, ale nagle, tuż pod powierzchnią zobaczył ciepły punkt.

Jakieś pięćdziesiąt jardów od brzegu. Na dodatek punkt się przemieszczał.

Poderwał się w górę, robiąc zwrot w lewo i zataczając koło. Teraz miał pewność, pod wodą znajdował się duży, ruchomy obiekt wytwarzający sporo ciepła.

Ale żeby aż tak dużo?

Sięgnął do bazy danych po informacje o tej zatoce.

Rozwiązanie znalazł po dwóch sekundach. O tej porze roku zimny prąd morski skręcał jakieś

sto mil na północ stąd i wpadał do zatoki, obmywając jej brzeg.

Temperatura wody spadała o całe trzy stopnie. Nic dziwnego, że to coś niemal świeciło, mimo ukrycia pod falami.

Zrobił następny zwrot, przypatrując się fragmentowi plaży pomiędzy lasem a morzem. Na szerokiej na niecałe dwadzieścia jardów wstędze piasku zobaczył kilkanaście dziwnych, sześciopalczastych odcisków.

Promieniowały słabą poświatą. Mógł się czuć usprawiedliwiony, że ich poprzednio nie zauważył, gdyż ginęły zaraz na nieco bardziej zarośniętym gruncie.

Co to u diabła było?

Jego komputer nie znał odpowiedzi na to pytanie. W danych o nieprzyjacielskim sprzęcie nie było żadnej informacji o maszynach kroczących, zostawiających podobne ślady.

Robiąc kolejne koło, zastanawiał się, czy nie zawiadomić bazy. Ale to oznaczałoby najpewniej pojawienie się tutaj kilkunastu śmigłowców z bojowymi automatami i marines na pokładach.

Niewykluczone, że i myśliwce bombardujące dołączyłyby do zabawy. A przecież milę od brzegu kotwiczył cywilny statek. Możliwe, że to tylko kilku turystów uprawiało jakiś ekscytujący podwodny sport lub robiło sobie wycieczkę na linię frontu. Gdyby przez niego rozpętało się tu piekło, generał Marshall osobiście oberwałby mu skrzydła. A potem głowę.

Postanowił zaczekać, aż tajemnicze źródło ciepła pojawi się na plaży.

Nie trwało to długo. Najpierw woda zaczęła się lekko burzyć, potem fale odstąpiły górną część urządzenia. Wystarczył jeden rzut oka, by przekonać się, że to nie turyści. Pierwszy człon maszyny, szeroki na sześć stóp, długi na dziesięć, ozdobiony był nieco topornym z wyglądu, ale śmiertelnie niebezpiecznym elektromagnetycznym działkiem Gaussa. Bez trudu rozpoznał chińskie działko przeciwlotnicze kalibru 10 mm. Drugi człon automatu właśnie wychodził z wody.

Połączony z pierwszym giętym przegubem, nieco krótszy, zaopatrzony na górze w kilka elementów pelengacyjnych. Z tej odległości można było rozpoznać radar, laser, zestaw czujników optycznych i coś przypominającego dwunastocalowy kociołek przykryty szklaną pokrywą. Trzecia część maszyny była gładka, udekorowana tylko kilkunastoma okrągłymi, sześciocalowymi deklami rozmieszczonymi symetrycznie na górze kadłuba.

Każdy człon maszyny wspierał się na czterech szeroko rozstawionych, pajęczych nogach, zaopatrzonych w sześciopalczaste „stopy”. Kowboj przez chwilę mógł podziwiać, jak wychodząc z wody, automat zmienia barwę z szaroniebieskiej na jasnokremową. System aktywnego maskowania nie był już domeną amerykańskiej technologii.

Jego komputer bez przerwy analizował kształt, uzbrojenie i wygląd maszyny, usiłując ją zaklasyfikować. Wreszcie wyświetlił komunikat: „Typ nieznan. Prawdopodobnie uniwersalny automat przeciwlotniczy”.

Tyle to widział sam.

No cóż, to już nie był jego problem. Jedyne, co teraz musiał zrobić, to wznieść się ponad chmury, odszukać na nocnym niebie satelitę i przesłać laserową wiązką stosowny komunikat. Klasyfikacją szczątków zajmą się specjaliści z wywiadu.

Zrobił ostatni zwrot, żeby strzelić jeszcze jedną Serię zdjęć.

I wtedy maszyna oszalała.

Automat rozpadł się na trzy części, z których każda pobiegła dziwnym, kaczym chodem w inną stronę. Po przebyciu kilkudziesięciu metrów, wszystkie człony ciężko opadły na grunt, w ciągu paru zaledwie sekund zagrzebując się do połowy kadłubów w piasku.

Utworzyły na plaży niemal idealny trójkąt równoboczny. Przyrządy na najmniejszym ożyły,

szybowiec został muśnięty wiązką radarową, ale zaraz ją zgubił wyćwiczonym do perfekcji manewrem. Z pierwszej części automatu w ślad za radarem pomknęła seria dziesięciomilimetrowych pocisków. Pewnie tylko co dwudziesty był świetlny, ale i tak wyglądało to jak gęsty sznur pereł rozpięty na ułamek sekundy pomiędzy ziemią a chmurami.

Kowboj szarpnął się w ostrym zwrocie, wyciągnął w górę do pętli, w szczytowym punkcie lotu złożył skrzydła, zrobił przewrót i skierował się nad morze.

Ten manewr miał swoją cenę, musiał użyć silnika, żeby nie przeciągnąć maszyny i nie zwalić się na łeb do wody.

Wiązka radaru znów go dotknęła, a w ślad za nią uderzył promień lasera. Skręcił niemal w miejscu, składając jedno skrzydło jak ranny ptak. Namierzenie laserem było prawie bolesne, zgubił go, ale tylko na chwilę, znów radar, laser a potem działko. Złożył oba skrzydła i runął w dół, byle dalej od śmiercionośnych świetlików.

Znowu się udało, rozłożył skrzydła ledwie pięćset stóp nad wodą, aż od nagłego szarpnięcia pociemniało mu w oczach. Skierował się na zachód, nad pełne morze.

I wtedy radar odnalazł go po raz trzeci. A wraz z nim słońce.

Ze środkowego członu automatu wystrzeliła ku niemu smuga jasności. Niby nie nadzwyczajnego, zwykły reflektor, ale Kowboj poczuł się jak motyl przyszpilony do kartki papieru. Daleko w górze, na szarej ścianie chmur, zobaczył przez sekundę swój cień pośrodku olbrzymiego kręgu światła. Poderwał szybowiec w górę, rozpaczliwie usiłując uciec przed spodziewaną serią z działka. Nic takiego nie nastąpiło, za to w głębi ładu dwieście lub trzysta jardów od plaży ożyły inne potwory. Kolejny reflektor złowił go, gdy robił zwrot w lewo, następny, gdy wymykał się nieprawdopodobnym skrzętem w prawo i dół.

Ale szybowiec miał swoje prawa. Nie mógł wykonywać takich manewrów, nie tracąc wysokości.

Jeszcze kilka uników i będzie musiał szybko nauczyć się pływać.

Uruchomił silnik do pracy ciągłej, i tak diabli wzięli całą koncepcję niewidzialnej maszyny. Zaczął się wznosić, co i raz gubiąc śledzące go reflektory. Zerknął w tył w samą porę, żeby zobaczyć, jak ożywa ostatni człon automatu. Dwa dekle na górze odskoczyły i w powietrze wystrzeliły rakiety. Światło zalało całą plażę, gdy pociski, ciągnąc za sobą ogniste warkocze, pomknęły w jego kierunku.

Nie miał szans, nie był wyposażony w żaden typ wabików. Zgodnie z przewidywaniami konstruktorów rakiety kierowane radarem nie będą w stanie go namierzyć, a termolokacyjne nie wykryją tak małego źródła ciepła jak jego silnik.

Nikt nie jest nieomylny.

Rakiety potrzebowały trzech sekund, żeby go dopaść. Wykorzystał te trzy sekundy na wzięcie głębokiego oddechu, krótką modlitwę i zrobienie jedyne manewru, jaki mu pozostał.

Wyłączył silnik, rozłożył maksymalnie skrzydła, a potem zwinął prawe, wysuwając jednocześnie klapy w lewym. Szybowiec dosłownie wpadł w poślizg, obróciło go w powietrzu dwa razy, znosząc ostro w lewo, a prędkość raptownie spadła do granicy przeciągnięcia. Ale zanim zwałił się w dół, zobaczył, jak rakiety gubią go i lecą dalej. I wtedy, gdy już sądził, że mu się uda, jedna zwęszyła w powietrzu ślad ciepła, skręciła nagle i eksplodowała nie dalej niż pięćdziesiąt jardów za nim.

Błysk, huk, grad odłamków tnących jak rozpalone ostrza. Fala uderzeniowa. Rzuciło nim w tył, przód szybowca uniósł się w górę, na moment cała maszyna zawisła nieruchomo w powietrzu, po czym zwała się przez skrzydło i runęła w dół.

Tym razem ocalała go automatyka. Sam nie był zdolny do działania, czuł każdą ranę w poszyciu, każdy uszkodzony obwód. Hydraulika lewego skrzydła nie wytrzymała szaleńczego manewru, kilka pęknięć w mechanizmie zmiany geometrii broczyło w noc ciemnym płynem. Prawa strona kabiny pokryła się siateczką pęknięć, czujniki szlag trafił i w ogóle nic nie widział. Blok łączności – został wepchnięty w głąb kadłuba, tworząc wraz z rezerwowym systemem maskującym płataninę elektronicznego złomu.

Na szczęście ocalał mechanizm prawego skrzydła. I główny komputer. W ciągu paru sekund rozłożył skrzydło, odzyskując symetrię aerodynamiczną i wyprowadzając szybowiec z korkociągu. Zablokował oba płaty w pozycji wyciągniętej, to było wszystko, co dało się w tej chwili zrobić, i wyrównał lot tuż nad powierzchnią morza. Uruchomił pulsacyjnie silnik i przesłał informacje o uszkodzeniach pilotowi.

Wszystko zgodnie z procedurami awaryjnymi.

Kowboj zwił się z bólu, każdy uszkodzony czujnik przesyłał do jego mózgu informację o swoim stanie, każda uszkodzona część szybowca krzyczała, zalewając go falami cierpienia. Komputer przez prawie dwie sekundy analizował sytuację, zanim podjął decyzję o odłączeniu niemal wszystkich systemów od kabiny i pozostawienie jedynie półautomatycznych sterów.

Nagle ból ucichł i Kowboj odzyskał zdolność działania. Przed oczami miał raport o uszkodzeniach.

Stracił hydraulikę, system maskowania nawalał, do łączności zostało mu tylko radio. Większość czujników została wyłączona. Był ślepy i głuchy.

I leciał nad morzem, oddalając się z każdą sekundą od plaży.

Oblizwał wargi, chrząknął i wychrypiał.

– Kamery tył.

Na dole ekranu ukazał się rozmyty obraz. Kawalek brzegu i biały wycieczkowiec odgradzający go od morderczych automatów.

– Dzięki Bogu.

„Komenda nieprawidłowa. Proszę powtórzyć”.

– Kamery przód, prawo dziesięć. Szybowiec zaczął skręcać na północ.

– Stan paliwa.

„Pięćdziesiąt osiem minut pracy ciągłej”.

– Kurs zero trzydzieści, pułap trzysta.

Wywołał jeszcze raz widok brzegu. Krążyły plotki o uzbrojonych motolotniach i latających automatach polujących na szybowce. Najwyraźniej jednak były to tylko pogłoski i partyzanci nie mieli niczego takiego pod ręką.

Sterowanie głosem wymagało maksymalnego skupienia i uwagi. Na dodatek leciał niemal na ślepo, ledwo odróżniając niebo od morza. Czekala go długa droga do domu.

Carlson wszedł do gabinetu generała pełen jak najgorszych przeczuć. Marshall siedział w obrotowym fotelu, tyłem do drzwi, ćmiąc olbrzymią fajkę. To był zły znak. Nie zmieniając pozycji, zaciągnął się po raz ostatni i odłożył swoje narzędzie tortur. Fotel skrzypnął, znaleźli się twarzą w twarz.

Carlson wyprężył się jak struna, salutując. Wiedział, że głupio wygląda w mundurze jakby żywcem ściągniętym ze starszego brata, z wiecznie lśniącą od potu łysiną i pyzatą twarzą ozdobioną okularami w drucianej oprawce.

Niesmak na twarzy Marshalla był esencją wszystkich uczuć, jakie od wieków zawodowi żołnierze żywią do cywilów płaczących im się pod nogami.

– Pański człowiek znów zawałił sprawę, kapitanie.



Zaakcentował ostatnie słowo jakby chodziło o jakiś dowcip.

– Nie rozumiem, sir.

Marshall zaczął przerzucać leżące na biurku dokumenty.

– Szeregowiec John William Winters, pseudonim Nocny Kowboj, pilot szybowca rozpoznawczego G – 22b, wrócił z misji zwiadowczej w rejonie B-12 dziś o czwartej czterdzieści osiem. Uzyskane przez niego informacje nie zostały do tej pory potwierdzone ani przez zwiad satelitarny, ani przez wywiad wojskowy.

Wycieczkowiec „Wiosenny Kwiat” znajduje się już ponad sto mil od brzegu, na wodach neutralnych, poza naszym zasięgiem. Rozumie pan?

– Niezupełnie, sir.

Generał trzasnął pięścią w biurko.

– Nie zgrywaj przede mną idioty, Carlson. Spawa jest prosta. Twojemu pilotowi udaje się cudem odkryć sposób, w jaki te brudasy z dżungli dostają broń i sprzęt. Ale co z tego, najpierw pozwala się wykryć i doprowadza do zniszczenia sprzętu wartości stu milionów dolarów, a potem, zamiast o wszystkim powiadomić bazę, wlecze się tu przez półtorej godziny i dopiero wtedy zdaje raport. Wiesz, co nasi chłopcy znaleźli na plaży? Gówno, ot co. Bandydzi zniknęli, automaty zniknęły i statek też zniknął. Nie było nawet śladów na piasku.

– Jak to zniknęli? Przecież widział pan film, sir.

– Właśnie, film. To jedyne, co ratuje w tej chwili twoją dupę, Carlson. Ale nie ciesz się zbyt, bo to może być gwoździem do twojej trumny. Ten automat na filmie został zidentyfikowany, według naszych oznaczeń, jako WA-31 „Hammer”. Kroczący automat bojowy, zaprojektowany i wykonany w Chinach specjalnie do walki w dżungli. Najnowszy typ, radar, układy optorozpoznawcze, wysoka samodzielność, świetne uzbrojenie. Specjalista do zwalczania celów powietrznych. Jaguary mają je teraz, a ja nie wiem nawet, gdzie je przeniosą. A mogliśmy dorwać cały transport od razu, w momencie dostawy. – Marshall ponownie wałnął pięścią w blat. – Twój ślepek – tak powinien zawiadomić nas, gdy tylko odkrył, co się dzieje. Miałem tu ludzi i maszyny, mogliśmy być na miejscu w dziesięć minut i dokopać im aż miło. A teraz nie ośmielę się wysłać żadnego śmigłowca nad ten las, bo są tam te „Hammary”.

Carlson od dłuższej chwili pocił się niemiłosiernie.

Ale aż za dobrze rozumiał, o co chodzi Marshallowi.

– Z całym szacunkiem, sir, Winters próbował zawiadomić bazę, ale jego sprzęt łącznościowy został zniszczony.

– Nie cały, kapitanie. Zostało mu jeszcze radio.

– Gdyby odezwał się przez radio, rozwaliliby go w ciągu trzech sekund. Na dodatek te ich reflektory, sir.

To zupełna niespodzianka.

– Przestań mi tu chrzanić, Carlson, to jest armia a nie przedszkole. Jeśli twoi ludzie boją się odrobiny ryzyka to odeślemy ich do kraju. Teraz brudasy mają maszyny prawie tak dobre jak nasze, a wszystko dlatego, że ten tchórz nie ośmielił się użyć radia. Będzie odpowiadał za każdego naszego chłopaka, który przez to zginie.

Carlson zacisnął szczękę.

– Te dzieciaki to też nasi chłopcy, sir. I też giną.

Żaden nie może liczyć na dostanie się do niewoli, ochronę konwencji międzynarodowych czy pomoc Czerwonego Krzyża. I jeszcze żaden nie odmówił wykonania rozkazu.

Marshall poczerwieniał aż po cebulki siwych włosów. Dwa miesiące wcześniej czternasty szwadron śmigłowców szturmowych odmówił lotu na akcję ze względu na złą pogodę. Za jego przykładem poszli piloci transportowców, w wyniku czego planowana od pół roku wielka

operacja przeciwko partyzantom okazała się kompletną klapą. Jednostki, które wyleciały nie otrzymały wsparcia, a wielki kocioł, mający być grobem dla ludzi lasu, okazał się wielkim durszlakiem.

Na dodatek dowódca czternastego był synem wpływowego senatora i całą sprawę szybko i sprawnie wyciszono.

Dla Marshalla był to jednak ciągle bolesny wrzód i wszelkie aluzje na ten temat doprowadzały go do szału.

– Wystarczy, kapitanie – wycedził cicho, ale takim tonem, że Carlson poczuł ciarki na grzbiecie. – Mam tu raport szefa mechaników, kolejny szybowiec nie nadaje się do użytku. Zniszczone lub uszkodzone siedemdziesiąt procent elektroniki, połowa systemów hydraulicznych i czujników. Może odzyskamy z niego trochę sprzętu na części zamienne. Bo nowych już nie dostaniemy, jeszcze trochę a pańskim ptaszkom zabraknie skrzydeł.

Przy ostatnim zdaniu Marshall nawet się lekko uśmiechnął i to tak, że Carlson miał ochotę walnąć go w twarz. Ale, rzecz jasna, nie zrobił tego. Nie miał ojca senatora. Zamiast tego zapytał:

– I co wtedy, sir? Będzie pan wysyłał żołnierzy do dżungli na podstawie danych z satelity? Bez potwierdzenia bezpośrednim zwiadem?

Generał miał na to gotową odpowiedź.

– Gdybym tak zrobił dziś w nocy, mógłbym już spać spokojnie. Nie twierdzę, że pańscy piloci na nic się nie przydali, po prostu ich czas już minął. Brudasy nauczyły się zwalczać szybowce, a wysyłanie im tarczy strzelniczej w cenie myśliwca uważam za lekką przesadę. Chcę, żeby pan wiedział, że wyślę do Pentagonu odpowiedni raport, wraz z wnioskiem o wycofanie jednostki „Cieni” z działań pierwszoliniowych. Zresztą, już wkrótce zostaną uruchomione „Oko Dwa” i „Oko Trzy”. Chciałbym, żeby przygotował pan inwentaryzację waszego sprzętu i spakował wszystkich. Za tydzień lub dwa pewnie już was tu nie będzie. To wszystko, może pan odejść.

Fotel zaskrzypiał i Carlsonowi nie pozostało nic innego, jak zaszutować plecami generała i wyjść.

W drodze do stojących na uboczu hangarów przeżywał jeszcze raz porażkę. Półtora roku siedział w tej dżungli, wdrażając w życie swój pomysł.

Osiemnaście miesięcy ciężkiej, wyczerpującej harówki przy eksperymencie, który tylko armia chciała sfinansować. A teraz nawet ona umyła od nich ręce. Co gorsza, potrafił zrozumieć Marshalla. Kiedy zaczynali wydawało mu się, że możliwe jest uzyskanie, no, może nie pełnej integracji z wojskowymi, ale przynajmniej tolerancji wspartej odrobiną szacunku. Jednak nawet on nie mógł się przełamać i polubić swoich utajnionych podopiecznych. Tożsamość i wygląd pilotów znało co najwyżej siedem osób w całej jednostce. Reszta była skazana na plotki i domysły, jak te o wypreparowanych mózgach jeńców zmuszanych elektrowstrząsami do samobójczych misji.

Rozumiał więc generała, jego obawy i niechęć.

Piloci szybowców nie byli dla niego prawdziwymi żołnierzami. Nie mógł być z nich dumny. Mógł co najwyżej odczuwać niesmak i zażenowanie, że jego ukochany kraj ucieka się do takich metod prowadzenia wojny.

Więc Marshall zrobił wszystko, żeby się ich pozbyć.

A on nie miał już sił na walkę z jego fobią.

Przed wejściem do głównego hangaru siedział sierżant Sunwood, szef mechaników. W rzeczywistości, mimo niskiej rangi, Sunwood był jednym z twórców programu „Nocne Oczy”. Był, o czym mało kto wiedział, jednym z najlepszych w kraju inżynierów specjalistów od

ultral lekkich maszyn. To właśnie on zajmował się opracowaniem i wdrożeniem do produkcji G-22b. Później na ochotnika zgłosił się do jednostki, aby, jak sam stwierdził: „Zobaczyć, co potrafią najdroższe latawce na świecie”. Miał cięty język i zawsze od razu okazywał ludziom, czy ich lubi czy nie.

Marshalla nie lubił. I dlatego był tylko sierżantem.

Powitał Carlsona niedbałym machnięciem ręki.

– Co jest? Carlson parsknął. – Półtora roku w armii i to ma być salut? Nie mówiąc już o twoim raporcie.

Sunwood lekko uniósł brwi. Bardzo szczupła twarz ozdobiona olbrzymim nosem nadawała mu w takich chwilach wygląd zdziwionego gнома.

– Mój raport? A, ten o maszynie Kowboja.

Napisałem szczerą prawdę, nic już nie da się z tym złomem zrobić. O co chodzi Marshallowi?

Carlson streścił zarzuty generała. Sierżant pokiwał głową, drapiąc się w czubek nosa.

– Więc taką drogą pójdzie. No, no, a to skurwiel. Nie martwiłbym się raportem do Pentagonu. Zanim papiery trafią na właściwe biurko miną nie tygodnie, lecz miesiące. Tak samo nie przejmowałbym się satelitami, nawet najlepszy sprzęt nie rozróżni z odległości tysięcy mil grupki ludzi od stada małp, nie w tym terenie. Ale Marshall już znalazł pretekst, żeby nas uziemić. Już poszła plotka, że zawaliliśmy sprawę i Jaguary mają nowy sprzęt. Będą nas oskarżać o każdą zestrzeloną maszynę.

– To jeszcze nie jest takie złe.

Sunwood znów obdarzył go spojrzeniem gнома.

– Jeśli nas uziemią, Kowboj i reszta, hm, mogą zacząć świrować. Latanie jest dla nich ważniejsze niż jedzenie i picie. Gry tego nie zastąpią. Za miesiąc zmarnujemy najlepszych pilotów w armii.

– Ty jesteś psychologiem, wymyśl coś. I naciskaj na Marshalla, jak raz i drugi dostanie po dupie z powodu błędów rozpoznania, przyleci tu na dwóch łapkach.

– Mamy zacząć inwentaryzację.

– Inwentaryzacja sobie, a wojna sobie. Zaczniemy, nie bój nic. Chyba od bielizny osobistej.

– A ile to może potrwać?

– Nie wiem jak ty, ale ja zawsze miałem problem z doliczeniem się skarpet.

Kowboj leżał na wznak i gapił się w sufit. Wszystko było szaro-czarne, nijakie, nie cierpiał oglądać świata w ten sposób. Z boku migotała czerwona lampka interkomu, ignorował ją od dłuższego czasu, rozmowa z kimkolwiek byłaby tylko kolejną kroplą w jego czarze goryczy.

Niezbyt dobrze pamiętał, co się działo od momentu lądowania. Szybowiec został w ciągu paru chwil zaciągnięty do głównego hangaru, wyciągnięto go z kabiny i umieszczono w części szpitalnej. Wtedy ostatni raz widział swoją maszynę. Miał paskudne przeczucie, że uszkodzenia okażą się śmiertelne, ciągle bolało go całe ciało, a krwotoki z nosa i uszu były tak częste, że doktor Rogerstein osobiście przysłała go zbadać.

Minęło już prawie szesnaście godzin, odkąd wrócił do bazy, a ciągle nie mógł zasnąć. Ledwo zamykał oczy, pod powiekami wykwitwały mu oślepiające szpony reflektorów, laserowe lance orzące brzuch szybowca i sznury śmiercionośnych paciorków.

Na dodatek Dzikie Oko i Spitfire przekazali mu już wiadomość, że cała jednostka została uziemiona. I to przez niego. Miał ochotę się rozplakać, jeśli odbiorą im skrzydła to będzie gorsze niż śmierć. Dobry Boże, powinien był użyć radia.

Za szybą pojawiła się czyjaś twarz, zmrużył oczy, usiłując rozpoznać przybysza.

– Jak się czujesz? Sierżant Sunwood.

– Dobrze, sir.

Własny głos, wzmacniony przez modulator, zawsze wydawał mu się mdły i sztuczny.

– Złe wieści John, twoja maszyna idzie do kasacji. Przykro mi.

– Spodziewałem się tego, sir. Wiadomo coś o tych automatach?

– Kamień w wodę. Partyzanci też.

– Zawaliłem sprawę, sir. Powiniennem użyć radia.

Cień za matową szybą wykonał coś w rodzaju wzruszenia ramion.

– I tak by cię zagłuszyli. Spisałeś się lepiej niż ktokolwiek inny na twoim miejscu.

– Dobrze panu mówić. To moja wina, że nie pozwolą nam już latać. Odebrałem skrzydła nie tylko sobie, ale i reszcie.

– John, zawsze uważałem cię za jednego z naszych najinteligentniejszych pilotów. Więc powiem ci to, co na pewno sam już wiesz. Marshall to głąb, tacy jak on dwa wieki temu mordowali Indian, a wcześniej rozpalali wszędzie stosy. Od miesięcy szukał pretekstu, żeby się nas pozbyć i....

– I wreszcie go znalazł, sir. Dzięki mnie. Tym razem cieszył się z modulatora, nie było słyhać jak drży mu głos.

– Przestań się mazać – powiedział Sunwood.

Skąd u licha wiedział?

– Obaj dobrze wiemy, że pretekstem mogło być cokolwiek. Spójrz prawdzie w oczy, John, jesteśmy wszystkim nie na rękę.

– My, sir? Może więc po prostu pójdziemy do kantyny razem się zalać?

Przez chwilę sierżant tkwił jak zamurowany.

Kowboj poczuł się głupio.

– Przepraszam, sir. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

Sunwood machnął ręką.

– W porządku, to ja przepraszam. I nie martw się tak, na razie jesteście potrzebni. Bez bliskiego zwiadu marines znów będą dostawać po dupie. Za parę dni szybowce wrócą do łask.

– Mam nadzieję, sir. I dziękuję.

– Drobiazg. Przygotuję dla ciebie maszynę Alibaby, powinna pasować. I prześpij się wreszcie, masz być wypoczęty.

Rozmazana plama znikła z szyby. Kowboj przetoczył się na bok, wyciągnął rękę i włączył w sieć.

Natychmiast trafił na przekaz z interkomu.

Stał w sporym pomieszczeniu, wyglądającym jak sala odpraw z czasów I wojny światowej. Drewniane stoły i krzesła, wisząca na ścianie wielka, dwuwymiarowa mapa przedstawiająca teren ich działań a przed nią olbrzymie, czarne biurko. Za biurkiem siedziało trzech mężczyzn. Wszyscy mieli skórzane kurtki, pilotki, gogle i śnieżnobiałe jedwabne szaliki.

Najwyższy z nich, ostrzyżony na jeża blondyn z lewym okiem niebieskim a prawym czerwonym, uderzył nagle szpicrutą w blat aż trzasnęło.

– Szeregowy Winters, zostaliście postawieni przed sądem koleżeńskim pod zarzutem zlekceważenia obowiązków i narażenia całego dywizjonu na zniszczenie.

Tak postanowili to rozegrać. Nie miał jednak ochoty na taką zabawę.

– Przestań, Gallhager, wiesz dobrze, że to nie moja wina. Łysy jak balon grubas skrzywił się z niesmakiem.

– Poruczniku Gallhager, jeśli łaska, Winters.

– Nie wiedziałem, że awansował, Tygrysie, kiedyż to Marshall przypiął mu gwiazdki?  
Ostatni z oskarżycieli, szczupły, niemal wychudzony, spokojnie wyjął z kurtki zapalone już cygaro, zaciągnął się, wypuścił kłęb aromatycznego dymu.

– Nie mówimy o nim, tylko o tobie, Kowboju – odezwał się miękkim, aksamitnym głosem. – Przez ciebie nas uziemili.

Zanim trzasnęły drzwi, rozległ się tupot kilku par butów.

– Nie wiedziałam, że już zaczęliście, Puszku.

Minęła go szczupła, zgrabna dziewczyna w kwiecistej sukience. Długie, ciemne włosy spięła zwykłą gumką.

– Czy zwyczaj nie wymaga bezwzględnej większości? Nazwany Puszkciem chudzielec, skrzywił się ironicznie.

– Tylko wprowadzaliśmy go w nastrój, moja droga.

Chciałem uniknąć zbytniego szoku.

Dziewczyna odwróciła się do Kowboja, stanęła na palcach i cmoknęła go w policzek.

– Jak się czujesz, John?

– Teraz już dobrze. Dziękuję.

Wyciągnął rękę do trzech mężczyzn, którzy weszli razem z dziewczyną. Dwóch było młodych, jeden ciemny, czarnowłosy, z niewielkim wąsikiem, drugi piegowaty, rudy jak marchewka. Obaj niezwykle poważni, uścisnęli mu dłoń bez zwykłych żartów i docinków.

Trzeci mężczyzna był całkiem siwy, lekko przygarbiony, kurze łapki w kącikach oczu i złamany nos.

Tylko on uśmiechnął się na jego widok.

– Dobrze, że jesteś, John. Widziałem zapis twojego lotu, świetna robota.

Czerwonooki podniósł się nieco z krzesła.

– Skąd wzięłeś zapis?

Siwy spojrzał na niego przeciągle, aż ten spuścił wzrok i usiadł.

– Skąd wziął pan zapis, sir – zaakcentował. – Jeśli chcesz się bawić w wojsko, Gallhager, to proszę bardzo, ale zachowaj formę w każdej sytuacji.

Dziewczyna tupnęła nogą.

– Przestańcie natychmiast. Co to za cyrk z tymi stopniami? Wszyscy mamy jeden, szeregowiec.

Chudzielec, nazwany Puszkciem, skinął głową.

– To prawda, Tancerko. Dzikie Oko ostatnio trochę przesadza.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Co ty knujesz?

Zrobił urażoną minę.

– Ja? Łamiesz mi serce. – Uniósł dłoń, zanim zdążyła zripostować. – Mam pytanie w kwestii formalnej. Gdzie jest reszta naszych pań?

– Okruch Wiatru medytuje. A Madonna gra w sieci z pilotami marynarki i nie zamierza przerywać. Za dobrze się bawi. Ja dysponuję ich głosami.

Grubas aż podskoczył.

– To nie w porządku, niezgodne z....

– Całe to przedstawienie jest nie w porządku – przerwała mu bezceremonialnie. – Wszyscy wiemy, że Marshall od miesiący szukał pretekstu, żeby nas załatwić. To mógł być twój lot albo jego, mój, ich.

Wystarczyło byle jakie potknięcie. Powinniśmy teraz radzić, co mamy robić, a nie bawić się w szukanie kozła ofiarnego.

Rudzielec skinął głową.

– Zgadzam się.

– Ja też. – Jego smagły towarzysz usiadł na stole. – Cała ta sprawa jest bez sensu. To nie my decydujemy, kto ma latać, a kto nie.

– Ale Kowboj mógłby dostosować się do naszego wyroku. Puszek uśmiechnął się uprzejmie.  
– Prawda?

Kowboj rozejrzał się, przeliczył. Stosunek głosów w grupie wypadł raczej na jego korzyść. Tancerka ze swoimi dwoma dodatkowymi, Czerwony Baron i Spitfire. Alibaba był trochę niepewny, gdyż groziło mu dzielenie się maszyną z innym pilotem. Ale i tak byłoby pięć do czterech.

Skinął głową.

– Oczywiście. Puszek też umiał liczyć.

– Wydaje mi się jednak, że Tancerka i Alibaba mają rację. Proponuję przyjąć wniosek o braku winy ze strony Kowboja. Kto jest za?

Uniosło się kilka rąk, tylko Gallhager siedział z ramionami demonstracyjnie skrzyżowanymi na piersi.

Tygrys przez chwilę się wahał, po czym dołączył do większości. Chudzielec policzył głosy, skinął głową i sam podniósł rękę.

– Osiem do jednego. Możesz usiąść, John.

– Dzięki, postoję. Co teraz?

Puszek spojrzał na najstarszego z pilotów.

– Baronie?

– Jesteśmy uziemieni, na razie. Podobno poszedł wniosek do Pentagonu, żeby to już było na stałe.

Przez salę przeszedł szmer. Gallhager wbił w Kowboja wzrok pełen nienawiści. Nawet Puszek wyglądał na poruszonego.

– Jakie są nasze szanse?

– Pół na pół.

– Aż tak źle?

– Tancerka ma rację w tym, że Marshall szukał pretekstu, żeby się nas pozbyć. I poparcia. Znalazł je.

Jest silna frakcja związana z NASA propagująca użycie zwiadu satelitarnego nowej generacji. Mają wkrótce uruchomić nowe satelity, Oko Dwa i Trzy, specjalnie zaprojektowane do obserwacji takiego terenu. Po dwa i pół miliarda za sztukę.

Ktoś gwizdnął.

– Sporo.

– Tak, ale nie zapominaj, że to i tak połowa naszej ceny. Tancerka włożyła do ust kosmyk włosów, zaczęła żuć.

Zawsze tak robiła, gdy intensywnie myślała.

– Kiedy je uruchomią?

– Za dwa tygodnie.

– Pozycje?

– Nie znam dokładnych. Razem z Okiem Jeden mają tworzyć trójkąt równoboczny. Chodzi o analizę i porównywanie danych z trzech satelitów jednocześnie.

Sercem systemu będzie jeden z tych optycznych superprocesorów korporacji Hondari.

– Przewidywana skuteczność systemu?

– Osiemdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt procent.

– Ha – parsknęła. – Dwadzieścia procent możemy od razu odrzucić, to zwykły kit dla generałów. Dziesięć, piętnaście to pobożne mrzonki, a następne dziesięć to optymizm producenta. Czyli zostaje nam jakieś, powiedzmy pięćdziesiąt procent skuteczności. To i tak dwa razy lepiej niż Jedyńka, ale o wiele gorzej od nas.

Wszyscy się rozluźnili. Kalkulacje Tancerki były zazwyczaj niesamowicie trafne.

– Ale... – Machnęła palcem i powiało chłodem. – Naszym problemem nie są teraz satelity tylko Marshall.

– Generał Marshall – wycodził Gallhager.

Zignorowała go.

– On może nas załatwić, zanim okaże się, że satelity nie są tak dobre jak w folderze reklamowym.

Wystarczy, że rozkaże odesłać maszyny do Stanów.

– Nie może tego zrobić.

– Może, Baronie, może. Okresowy przegląd po wylądowaniu dwóch tysięcy godzin. A większość szybowców ma po trzy lub więcej. Do tej pory tego nie zrobił, bo byliśmy potrzebni, ale jeśli ubzdura sobie, że zastąpią nas satelity...

Zawiesiła znacząco głos. Przez chwilę panowała całkowita cisza, wreszcie odezwał się Baron.

– Więc co?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Plan B.

Na ułamek sekundy wszyscy zamarli.

– No nie, daj spokój. – Puszek pierwszy odzyskał głos. – Chyba nie wierzysz w te bzdury.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– Cisza! – Kowboj aż podskoczył. Rzadko się zdarzało, żeby Baron podnosił głos. – Mam nadzieję, że wiesz o czym mówisz. To oznacza zdradę.

Tygrys otworzył usta jakby chciał coś powiedzieć, Gallhager tylko energicznie skinął głową.

– Zdradę? – Tancerka nie wyglądała na zbitą z tropu.

– A kogóż to mielibyśmy zdradzać?

Baron czujnie zmrużył oczy.

– Nie będę się wdawał z tobą w dyskusję.

Złożyliśmy przysięgę.

– Ach tak, przysięga. Pamiętam, generał Marshall trzymający Biblię jakby była amuletem przed złym urokiem i mówiący: „Powiedz tak albo już nigdy nie oderwiesz się od ziemi”. Faktycznie powinnam czuć się ogromnie zobowiązana tą przysięgą. I może nawet dumna, że jestem żołnierzem.

– Mówiłem, że nie będę z tobą rozmawiał na ten temat, szeregowo Stashelsky.

– A to dlaczego, szeregowo Gettenberg? – zaakcentowała jego stopień.

– Zapominasz się. – Zacisnęła szczęki.

– Naprawdę? – Uniosła brwi. – Przecież jesteś szeregowcem, tak jak ja, on, on, on i on. – Obracała się na pięcie, pokazując ich po kolei palcem. – Wszyscy jesteśmy szeregowcami, Nigdy żadne z nas nie awansowało. Byłeś trzy razy ranny, Baronie, wylatałeś nad terytorium wroga dwa tysiące godzin.

Ocaliłeś życie setkom, może nawet tysiącom żołnierzom i dostarczyłeś informacji wartych miliardy. Te dwa tysiące godzin wystarczyłoby, żeby cały dywizjon dostał generalskie gwiazdki. A jesteś szeregowcem. Kto tu kogo zdradza?

Gallhager wstał.

– Przymknij się, Stashelsky, to co mówisz zasługuje na kulkę.

Zaśmiała się dziko.

– I co, Szalone Oko, postawią mnie przed murem? A może wyłączą zasilanie kojca? No, co się tak gapicie? Zapomnieliście, kim jesteście? Jak wyglądacie? Jak reagują normalni na nasz widok?

Zmieniła się w ułamku sekundy. Zamiast wysokiej, zgrabnej, młodej kobiety pojawiło się przed nimi małe, nagie, pomarszczone stworzenie przypominające przerośnięty embrion. Przez chwilę balansowało na karłowatych nóżkach, potem piasnęło na wznak.

Wielka głowa stuknęła o podłogę, niedorozwinięte, pozbawione palców rączki bezsilnie miały powietrze.

Stworzenie wydało z siebie mysi pisk i uniosło nieco głowę, patrząc na nich wielkimi, wytrzeszczonymi oczami. Kowboj poczuł, że brakuje mu tchu.

– Przestań, Tancerko, proszę przestań. – To był głos Puszka.

Błysnęło, huknęło i Tancerka pojawiła się z powrotem jako szczupła piękność.

– Efektowne, prawda?

Baron podszedł do niej, przez sekundę wydawało się, że ją uderzy.

– Pracowałam nad tym razem z Madonną. Chociaż muszę przyznać, że trochę się upiększyłam, bo w realu nie mam lewej nogi. A ty?

– Ja mam obie.

– Szczęściarz. Ale wróćmy do tematu, chłopcy. Za dużo czasu spędzacie w sieci, tu możecie wyglądać jak wam się podoba, ale tam? Na zewnątrz? Jeśli zlikwidują jednostkę spędzimy resztę życia w jakimś zamkniętym szpitalu dla mutantów. Nie mamy prawa do renty wojskowej, bo to nie armia nas tak urządziła.

Jako szeregowcy zarabiamy za mało, żeby kupić choćby przyzwoity sprzęt. Zatem i sieć będzie dla nas niedostępna. Chcecie spędzić ostatnie dwa, trzy lata życia, gapiąc się w brudną szybę kojca i modląc o awarię, która was zabije?

– Balansujesz na cienkiej linii, dziewczyno.

Spojrzała na Barona z czymś w rodzaju politowania.

– Wszyscy to robimy od wielu miesięcy. Z tym, że do tej pory wydawało mi się, iż gdzieś tam, w dole, pod sobą, dostrzegam coś w rodzaju siatki asekuracyjnej.

Bo ta siatka przecież nam się należy, złożyliśmy przysięgę, jesteśmy żołnierzami, do cholery, nadstawiamy tyłka częściej niż inni. Nasi towarzysze broni, nasz kraj powinien o nas zadbać, jeśli poślizgniemy się i spadniemy. – Posłała mu uśmiech rozczerowanego dziecka.

– Ale wiecie co, szeregowy Gettenberg? Ostatnio zerknęłam w dół i zobaczyłam tylko otchłań. Wielką, bezdenną dziurę w ziemi, w którą wszyscy próbują nas zepchnąć. A zwłaszcza nasi koledzy żołnierze. Oni chcą zapomnieć o naszym istnieniu, jesteśmy jak wyrzut sumienia, wrzód na dupie, który trzeba wyciąć, a potem udawać, że go nigdy nie było. Skończymy jak Warriorsi.

– Oni byli szaleni.

– Wszyscy? Cała grupa? Przestańcie mnie rozśmieszać. Zrobili im prawie to samo, co nam. Wzięli grupę dzieciaków, założyli biowspomaganie, sterowniki neuronowe, naszprycowali i wysłali na pierwszą linię, do walki z automatami. Wyobrażacie to sobie? Ludzie przeciwko automatom bojowym. Większość zginęła, a kiedy reszta nie była już potrzebna, zdemobilizowali ich, wypruli ze środka co droższe gadzety i pozamykali u czubków albo wyrzucili na ulicę. Nas niestety nie wyrzuca. Jeszcze przyplątałyby się jakiś pismak i pstryknął parę fotek.

Zapadła cisza.



W tej ciszy Baron mierzył ją przez dłuższą chwilę wzrokiem.

– Nie, Tancerko. – W tym momencie wydawał się przede wszystkim smutny. – Rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale latam w tej wojnie od samego początku. Półtora roku to kawał czasu. A ja robię to przede wszystkim dla siebie. Żeby sobie udowodnić, że nie jestem tylko kawałkiem mięsa. Nie mogę tego wszystkiego przekreślić, nawet jeśli ostatnią rzeczą, którą zobaczę będzie brudna szyba kojca w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu.

Przez jej twarz przemknęła gama uczuć, smutek, gniew, ból, rozczarowanie. Nagle zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się jak małe dziecko. Objął ją delikatnie, pogłaskał po włosach.

– Musimy coś zrobić, Baronie. – Kiedy się odezwała, jej głos nieoczekiwanie zaczął się łamać i trząść. – Wcześniej czy później staniemy się zbędni i usuną nas jak śmieci.

Przycisnęła ją mocniej.

– Wiem – wyszeptał. – Zawsze o tym wiedziałem. Po prostu myślałem... miałem nadzieję, że Jaguary zabiją mnie, zanim zrobią to nasi.

– Taka śmierć cię zadawała? Bez pogrzebu, bez salutu honorowego, miejsca na tablicy pamiątkowej? – Uniosła twarz poznaczoną smugami łez. – Nawet bez wpisu na oficjalną listę poległych. Tak jak Batman, Rocco, Dzikus i reszta.

Wyrwała się i odwróciła do niego plecami. Przez chwilę stał z bezradnie opuszczonymi rękami, potem cofnął się o krok.

– Przykro mi, mała, nie poprę was.

– Szkoda, Baronie. – Już nie była zdesperowanym dzieckiem. – Jeśli chodzi o mnie, to nie dam się wyrzucić jak niepotrzebny śmieć. Jeśli jednostka „Cieni” przestanie istnieć, to w taki sposób, żeby zabolalo to tych wszystkich parszywych, nadętych, głupich skurwysynów. A najbardziej Marshalla. Kto jeszcze, oprócz Barona, da się zamknąć na resztę życia w jakimś śmierdzącym kojcu?

Mimo dramatyzmu sytuacji Kowboj omal się nie roześmiał. Tancerka była mistrzynią w zadawaniu takich pytań. Gallhager zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło.

– Pieprzysz, Stashelsky – warknął. – Siedzę tu i słucham tej twojej rozsądnej gadki, a wszystko sprowadza się do jednego. Do zdrady.

– Zdradasz wtedy, gdy przechodzisz na stronę wroga. A ja po prostu nie chcę zdechnąć jak zwierzę.

– Nie pójdę z tobą, i radzę, lepiej zapomnijcie o tym pomysle.

– Bo co? Pobiegniesz do generała na skargę? Myślisz, że zacznie cię traktować jak człowieka, jeśli zachowasz się jak hiena?

– Ty parszywa....

– Dosyć! – To znowu był Baron.

– Ja już powiedziałem swoje. Ona też. Ty, jak widzę, również Gallhager. Ale dobrze ci radzę, synu, to sprawa między nami. Mieszanie do niej obcych nic dobrego nie przyniesie. A teraz zbierajcie się stąd i niech każdy sam podejmie decyzję. Ale już!

Najpierw zniknął Puszek, potem Spitfire, Alibaba i Tygrys. Szalone Oko mierzył się przez chwilę wzrokiem z Baronem, ale w końcu dał spokój i rozpląnął się w powietrzu. Tancerka przez kilka chwil patrzyła na najstarszego pilota z takim bólem i smutkiem, że Kowboj poczuł się zażenowany.

– Przykro mi, Mark.

– Mnie też, Susan.

Oboje jednocześnie wyszli z sieci. Kowboj ostatni raz rozejrzał się po pustym pomieszczeniu, które przed rokiem wspólnie projektowali, żeby mieć się gdzie spotykać. Nikt z nich nie myślał wtedy, że będzie ono świadkiem takich dramatycznych scen. Pozwolił sobie na

smutny uśmiezek i wyłączył modem, wracając do ponurej rzeczywistości kojca i układów podtrzymujących przy życiu jego zdeformowane ciało.

Bob Sunwood siedział przed ekranem laptopa i przeglądał wykresy obrazujące zmęczenie materiału w kolejnym szybowcu. Maszyna stała tuż przed nim, po jej skrzydłach i kadłubie pełzało kilka automatów, badających ultradźwiękami konstrukcję.

Szef mechaników nie potrzebował zaglądać do danych G-22b, aby wiedzieć czyją maszynę bada.

Ponieważ poszczególne szybowce były niemal na stałe przypisane do swoich pilotów, indywidualny styl latania każdego z nich odciskał swoje piętno na poszczególnych „latawcach”.

Na przykład ta maszyna. Seria mikropęknięć w środkowej części kadłuba. I uszkodzenia skrzydeł tuż przy mechanizmie zmiany geometrii. A także ślady przeciążania samego mechanizmu. Bez wątplenia szybowiec Spitfire’a. Jego styl latania, polegający na nabieraniu prędkości przez pikowanie, a potem wznoszenie się tuż nad koronami drzew, niemal na granicy wytrzymałości konstrukcji, doprowadzał do furii wszystkich mechaników, ale dawał rezultaty.

Spitfire był jak do tej pory jednym z niewielu pilotów, którego maszyna ani razu nie została drażniona w czasie bezpośredniej akcji. Bodajże jedynym oprócz Okruchu Wiatru. Ona, w przeciwieństwie do Spitfire’a latała jak na pokazach, spokojnie, płynnie, bez przeciążania szybowca. I tylko trzy razy jej maszyna zostało dostrzeżona przez partyzantów. Ale ani razu nie udało im się w nią trafić.

Na początku wszyscy żartowali, że ona po prostu wie gdzie polecą pociski i unika tych miejsc. Później przestali. Tak czy inaczej, szybowiec Okruchu Wiatru zawsze pozostawał w najlepszym stanie. A jej intuicja przy wykrywaniu partyzanckich oddziałów i baz robiła wrażenie nawet na generale Marshallu. Przed każdą ważniejszą akcją zwykł żądać, żeby to ona dokonywała zwiadu.

Teraz jednak nad dzunglą zapanowała cisza. Jaguary udawały, że ich tam nie ma, a generał Montoya, że w to wierzy. Tym bardziej, że jego amerykańscy sojusznicy wycofali część swoich oddziałów. W tej ciszy pobrzmiwały jednakże dzwony pogrzebowe dla „Cieni”. Jeśli szybko coś nie zacznie się dziać, zwiad satelitarny uruchomi Oko Dwa i Trzy, a wtedy Marshall z pewnością nie wypuści ich w powietrze.

Wzrok Sunwooda po raz kolejny zatrzymał się na skrytych w cieniu drzwiach dzielących hangar na pół.

Za nimi była hala, którą zajmowały dwadzieścia cztery kojce. Większość była od dłuższego czasu pusta, ciemna i zakurzona. W dziesięciu jednak wciąż tliło się życie. Dosłownie. Ich lokatorzy nie potrafiliby przeżyć bez specjalistycznego sprzętu medycznego nawet kilku godzin. Karłowate, wielkogłowe, na ogół pozbawione kończyn kadłubki z czarnymi obręczami wszczepów wrośniętymi w czaszki.

Doktor Alicja Rogerstein kilkakrotnie próbowała wyjaśnić mu, jak udało się podpiąć te dzieciaki bezpośrednio do sieci i do systemów szybowców. A także, do czego służą te czarne obręcze. Po każdej takiej rozmowie czuł jedynie niesmak. I narastającą frustrację.

Wiedział, że jeśli teraz Baronowi i reszcie odbierze się szybowce, będzie to o wiele okrutniejsze od tego, co zrobiono im do tej pory. Dano im zakosztować nieba i wolności. A bezduszny rozkaz jakiegoś wojskowego biurokraty zamorduje ich równie skutecznie jak odcięcie zasilania od kojców.

Na dodatek, co budziło w nim szczególną pasję, same G-22b nie zostaną nigdzie indziej wykorzystane.

Żaden komputer nie da rady obsłużyć skutecznie tak skomplikowanej maszyny. Do tego potrzebny był ludzki umysł. A żaden normalny pilot nie da sobie wszczepić obręczy. Ani nie zmieści się do kabiny o wymiarach większej walizki.

Jego najdoskonalsze dzieło trafi do jakiegoś zapchanego złomem wojskowego magazynu, a potem pewnie na wysypisko śmieci. Miał ochotę kląć i rzucać wszystkim o ściany. Swój początkowy optymizm dotyczący decyzji Marshalla już dawno wyrzucił do kosza. Mijał już drugi tydzień, ale żaden szybowiec nie oderwał się od ziemi. Piloci, z którymi miał dobry kontakt, niekiedy nawet żartowali, teraz stali się oteńiali i apatyczni. Większość czasu spędzali w sieci, oczywiście w tej jej części, do której udzielono im dostępu. Armia nie była aż tak dumna, żeby pozwolić im na swobodne żeglowanie po Necie. Kiedyś usłyszał od Barona, że sieć była dla nich jedynie troszkę większym kojcem. Naprawdę wolni czuli się jedynie w powietrzu.

Skończył przegląd maszyny Spitfire'a i wyłączył komputer. Ten szybowiec jeszcze trochę polata, chociaż w niektórych miejscach trzeba będzie dokręcić to i owo.

Reszta była w podobnym stanie, żadnych większych uszkodzeń, po prostu wylatały zbyt wiele godzin bez generalnego remontu.

Na ekranie pojawił się symbol koperty. Ktoś miał dla niego wiadomość. Zniechęcony pstryknął w klawisz. Z ekranu patrzyła na niego szczupła, kobieca twarz otoczona ciemnymi włosami. Tylko nieco zbyt przerysowane kontury psuły efekt renderingu.

– Witaj, Tancerko.

– Dzień dobry, sierżancie.

– Czemu tak oficjalnie, myślałem, że mamy to już za sobą.

– Ależ, sir. – Zamrugła niewinnie. – Tak nie można. Co sobie ludzie pomyślą? Starszy, doświadczony mężczyzna i młodziutkie dziewczę.

Obruszył się.

– Czemu zaraz starszy? Czterdzieści dwa lata to jeszcze nie starość. Dopiero teraz otwierają się przed człowiekiem prawdziwe możliwości.

– Naprawdę? A ja myślałam, że starość to dwadzieścia lat.

Westchnął w myślach. Jak tu rozmawiać z tymi dzieciakami, nie dotykając co chwila jakiejś otwartej rany? Z drugiej strony to ona zaczęła. – Ty chyba lubisz się nad sobą znęcać. Płacą ci za to?

Przez parę chwil milczała.

– Właśnie dlatego pana lubię, sierżancie, nie udaje pan, że świat to góra mlecznej czekolady a wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga.

– Nie mów tak.

– Och, mam swoje powody. W jakim stanie są szybowce?

– Tu i tam podkleję je taśmą, mniejsze dziury zatkam gumą do zucia, a większe gazetami i jeszcze trochę polatają.

Uśmiechnęła się naprawdę bardzo naturalnie.

– Świetnie, sir. Czy wiadomo... kiedy wypuszczą nas w powietrze?

Nie było sensu klamać.

– Nie wiem, Tancerko. Sprawy nie układają się po naszej myśli.

– Czy w ogóle są na to jakieś szanse?

– Co powiesz na trzy procent?

– Mało.

– Wiem, ale nic na to nie poradzę.

– A jeśli odeślą nas do Stanów, to jak się to odbędzie?

– Nie wiem, to nie moja działka. Ja zajmuję się szybowcami.

- Jak zamierzacie je przetransportować?
- Można je złożyć. Wtedy każdy zajmuje skrzynię o pojemności jakichś czterech kubików.
- Ile to będzie w stopach?
- Hm... jakieś sto pięćdziesiąt stóp sześciennych.

Dlaczego pytasz?

- Więc wystarczą dwa śmigłowce transportowe.
- Któreś z tych większych Sikorskich byłyby w sam raz. Ale mamy jeszcze trochę części zamiennych, urządzeń diagnostycznych, sprzętu naprawczego i tym podobnych gratów. Więc myślę, że potrzeba cztery albo i pięć maszyn.

– A my?

– Co masz na myśli?

- Och, niech pan nie udaje, sierżancie. Jeden kojec waży tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt funtów i ma sto dwanaście na sześćdziesiąt na pięćdziesiąt osiem cali.

Do tego stałe zasilanie, podłączenie do centralnej jednostki medycznej i nadzór techniczny. Kłopotliwy bagaż. Czy armia ma w ogóle maszynę medyczną zdolną przewozić kojce wraz z pasażerami?

– Nie martw się, jeszcze nie likwidują jednostki. „Cienie” wciąż figurują na liście płac.

– To dobrze, ale... – przerwała, przygryzając dolną wargę, bardzo dramatycznie.

No wyduś to z siebie – czuł, że zbliżają się do sedna rozmowy.

– Jeśli przyjdzie decyzja o zakończeniu operacji to może się okazać, że koszty odtransportowania nas stąd są zbyt duże.

– Spokojnie, armia to skarbiec bez dna.

– Ale my nie jesteśmy skarbem, który można wyciągnąć na światło dzienne.

– Znowu zaczynasz?

– Taka jest prawda. Na dodatek....

– Właściwie w jakim kierunku zmierza ta rozmowa? Przez dłuższą chwilę twarz na ekranie była nieruchoma.

– Wydaje mi się, że wiem, co rozwiązałoby wszystkie problemy. Kojce nie mają autonomicznego systemu zasilania, tylko główny i rezerwowy, oba sprzężone z siecią bazy. Solidna, dwunastogodzinna awaria tych systemów ułatwiłaby życie wielu ludziom.

Tym razem to jego przytknęło. I to solidnie.

– Mam nadzieję, że jesteś na jakichś prochach, dziewczyno. To, co mówisz jest....

– Przeróżające? Okropne? Niemożliwe? Nieprawdopodobne? Bardziej niż to, co zrobili nam do tej pory?

Parsknął wściekle.

– Ja jestem jednym z tych, którzy wam to robili.

Więc nie udawaj mi tu niewinnej ofiary systemu ani nie próbuj wmawiać, że żałujesz.

– Niczego nie żałuję, sierżancie. – Była poważna jak sama śmierć. – Ani dostępu do Netu, ani możliwości latania. Nie zamieniłabym jednego dnia w powietrzu na dziesięć lat życia. Ale to już minęło. A mój wariant wydarzeń wcale nie jest niemożliwy, prawda? Przypomniał sobie, jak konsekwentnie Marshall odmawiał im oddzielnego generatora.

– Gadasz bzdury, Tancerko, do niczego takiego nie dojdzie.

– Mam nadzieję, że nie. Zanim jednak kosztorys ewakuacji da komuś impuls do nieprzemyślanych działań, chciałabym, żeby zaproponował pan w dowództwie inny sposób odesłania nas do domu.

– Dobra, strzelaj.

Przedstawiła pokrótce swój plan. Omal się nie roześmiał.

- Więc to o to chodzi, a niech cię, mogłaś mówić od razu.
- Wolę, żeby projekt wyszedł od pana, proszę go przedstawić jako własny.
- To trochę nie w porządku.
- Marshall prędzej go zaakceptuje, jeśli to będzie pan lub kapitan Carlson. A w dowództwie pewnie i tak przedstawi to jako swój pomysł.
- No cóż, chyba masz rację. Przynajmniej będziecie mogli po raz ostatni w tej kampanii polatać.
- Tak, sir, ostatni raz. Armia jest nam to winna.
- Zrobię, co się da.
- Dziękuję, panie Sunwood – powiedziała, symulując potwornego zeza. Zniknęła z ekranu, zanim zdążył zripostować.

Kowboj był sokołem. Wspaniałym, szaro-brązowoczarnym ptakiem o złotych tęczęwkach. Szybował spokojnie nad rozległą równiną porośniętą tu i ówdzie mizernymi krzaczkami. Nic nie mogło się przed nim schować, nic nie mogło mu uciec.

Program nazywał się, z typowo wojskowym wdziękiem, Łowy, i był pierwszym, jakiego używał do nauki latania. Po trwających pół roku operacjach, które ozdobiły jego czaszkę taśmą modemową, włączono komputer i pozwolono mu na pierwszy lot. Oczywiście przez pierwsze dwa miesiące non stop rozbijał sobie głowę. Nauka latania była o wiele trudniejsza niż chodzenie czy pływanie. Powietrze okazało się podstępny przeciwnikiem, potrafiło nieść go troskliwie przez setki jardów, by nagle osunąć się spod skrzydeł i cisnąć o ziemię.

Ale kiedyś nadszedł dzień, gdy je poskromił. Żadne podmuchy wiatru, prądy termiczne, dziury nie były w stanie go pokonać. Nauczył się je wykorzystywać, kraść im energię, zmuszać do posłuszeństwa. Od tego czasu był panem przestworzy. Potem było jeszcze wiele programów, od symulatorów lekkich szybowców, po bombowce strategiczne. Podobno istniał projekt wykorzystania ich w każdym typie wojsk lotniczych.

Ale nigdy nie doszedł do skutku, więc po pewnym czasie skupiono się na ultralekkich maszynach.

Pamiętał dobrze symulację albatrosa, w której sprawdzano, jak długo da rady utrzymać się w powietrzu bez lądowania. Wytrzymał siedemdziesiąt dwie godziny, pobijając oficjalny rekord. Albo Drogę Gniewu, Wielki Kanion Kolorado, trafiony serią głowic jądrowych różnej mocy. I samotny szybowiec mający przez niego przelecieć. Udało mu się raz przetrwać sześć fal uderzeniowych.

Ale ciągle darzył wielkim sentymentem Łowy, wraz z innymi pilotami stale ulepszali ten program, aż osiągnęli niemal perfekcję. Dla wszystkich było to miejsce azylu, gdzie mogli latać pod postacią ulubionego ptaka, zapominając o świecie zewnętrznym.

Dziś jednak Kowboj nie wybrał się na lot rekreacyjny. Od kilku dni grupa była podzielona.

Tancerka i Madonna pracowały nad czymś, nie kontaktując się z nikim. Tygrys i Szalone Oko trzymali się na uboczu, a ich demonstracyjna obojętność była po prostu śmieszna. Każdy widział, że chcieliby poznać szczegóły planu B. Baron wycofał się w ogóle z życia towarzyskiego, a jeśli ktoś przypadkiem natknął się na niego w jakimś zakamarku sieci, natychmiast zniknął.

Reszta czekała, nie rozmawiając o propozycji Tancerki ani nie próbując się nawzajem przekonywać.

A Okruch Wiatru zniknęła.

Od sierżanta Sunwooda dowiedział się, że od tygodnia nie opuściła Netu. Karmiono ją kroplówkami, a doktor Rogerstein i kapitan Carlson wypróbowali już cały swój medyczny

arsenał, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Daremnie.

Posunęli się nawet do wyłączenia jej modemu, ale po dwóch minutach nastąpiło zatrzymanie akcji serca, która powróciła dopiero po ponownym podłączeniu jej do sieci. Wiec się poddali. Kowboj jednak nie zamierzał się poddawać. Chciał porozmawiać z Okrucem Wiatru, zanim Tancerka postawi wszystkich w sytuacji bez wyjścia. A czuł, że ona do czegoś takiego właśnie zmierza. Czuł też, że Okruc Wiatru ukrywa się właśnie tutaj, w Łowach. Pięćdziesiąt tysięcy mil kwadratowych wirtualnych lasów, stepów, gór, pustyń, nawet kawałek morza. Wymarzone miejsce, żeby zniknąć wszystkim z oczu.

No, chyba że ktoś, tak jak on, miał oczy sokoła wędrownego, najlepszego łowcy wśród wszystkich drapieżnych ptaków. Jeśli Okruc Wiatru chciała się ukryć, będzie musiała naprawdę dać z siebie wszystko.

Zwłaszcza, że wiedział, jaką postać najchętniej przybierała, wielkiego cesarskiego żurawia. Taki ptak wyróżniał się na tle innych jak kometa pośród gwiazd.

Jeśli naprawdę jest tutaj, nie powinien mieć kłopotów z jej znalezieniem.

Nieprawdziwe słońce zachodziło za nieprawdziwymi górami, gdy wreszcie postanowił się poddać. Od ponad dziesięciu godzin przebywał w powietrzu, wyężdżając wzrok i nic. Spotkał setki ptaków, od gołębi po majestatycznego kondora, ale wszystkie były sztuczne. Większość przed nim uciekała, niektóre próbowały go przepędzić lub zabić. Unikał wszelkich starć, nie było czasu na zabawę. Nigdzie jednak nie spotkał cesarskiego żurawia. Ani żadnego innego ptaka wyróżniającego się z tłumu wirtualnych braci. Zaczął już myśleć, że przecucie go zawiodło i wyszedł na dumnia, latając cały dzień w kółko. Okruc Wiatru przepadła bez śladu.

Wylądował na sporym kawałku kamienistego gruntu i zmienił kształt. Przez chwilę przyzwyczajając się do normalnego ciała, pokonując przy okazji odruch machania ramionami i podskakiwania obunóż.

Postanowił zostać tu i odpocząć chwilę.

Nagle tuż za sobą usłyszał szelest żwiru. Odwrócił się gotów do walki lub ucieczki. Niepotrzebnie, Okruc Wiatru wreszcie raczyła się pokazać. Stała w promieniach zachodzącego słońca, ubrana w skórzaną kamizelkę i spodnie, niewysoka, czarnowłosa. Ciemna karnacja, wystające kości policzkowe, mały nos, pełne usta. Za opaskę na czole włożyła kilka orlich piór.

Wyglądała jak indiańska księżniczka z powieści Coopera. Nie mógł oderwać oczu od jej źrenic. Były zakryte bielmem.

– Po co to?

– Ten świat jest nieprawdziwy. – Wzruszyła ramionami. – Dlaczego mam sobie zawracać głowę oglądaniem go? Podaj mi rękę.

Świat zawirował i znaleźli się w głębokiej kotlinie otoczonej zewsząd pionowymi skałami. Niewielkie źródło, posłanie z jakichś roślin i ślad po ognisku.

Totalny prymitywizm.

– Więc to dlatego nie można cię znaleźć. Odrywasz się jeszcze w ogóle od ziemi?

Uśmiechnęła się lekko.

– Tylko w snach.

– Ach, twoje sny, zupełnie zapomniałem.

– Nie bądź cyniczny.

– Niby dlaczego, Mario? Wszystko staje na głowie.

Uziemili nas i grożą, że to już na zawsze, grupa się rozpadła, nie ma z kim pogadać. Na dodatek niektórzy z moich przyjaciół usiłują popełnić samobójstwo.

Cynizm to niezła tarcza.

– Raczej miecz obosieczny. Przykro mi, że się martwiłeś. Wyciągnęła rękę. Odsunął się

nieco.

– Ciemno tu, może trochę światła?

W wypalonym kręgu zatańczyły płomienie. Na skalnych ścianach momentalnie ożyły potwory z dziecięcych snów.

– Lepiej?

– Tak. Dlaczego, do cholery, nie dajesz znaku życia? Kiedy odłączyli cię od sieci, myślałem, że umrę.

– Jeszcze raz przepraszam. Pracuję nad czymś i nie mogę skakać tam i z powrotem parę razy dziennie.

– Doktor Rogerstein straci w końcu cierpliwość. Nie chcę, żeby dała ci coś, po czym zamienisz się w roślinę.

– Nie robi tego. Poza tym jestem już blisko, bardzo blisko. Wkrótce będę wiedzieć. Dasz mi się wreszcie dotknąć?

Wyciągnął ramiona i objął ją.

– Brakowało mi tego, John.

– Mnie też. Cieszę się, że wreszcie cię znalazłem.

– Chwalipięta. – Zachichotała. – To ja znalazłam cię. Ptaki opowiedziały mi o dziwnym drapieżcy włączającym się tu i tam.

– Stosujesz podstępne sztuczki.

– Jestem półkrwi Indianką, nie zapominaj o tym.

Apacze słyną z podstępów.

– Samochwała.

– Włóczykij.

– Dzikuska.

– Łapserdak.

Roześmiali się oboje.

– Co właściwie próbujesz osiągnąć?

Spowaźniała.

– Chcę dać nam nadzieję, szansę. Prawo wyboru. Czy to źle?

– Nie, ale chyba nie myślisz o tym, co sugerowała kiedyś Tancerka.

– A dlaczegożby nie?

Odsunął ją lekko.

– Mario, to był tylko żart, opowiadka, bajka. Stara indiańska legenda przerobiona przez Chmurołapa, żeby nas zabawić. A ty i Tancerka uczyniłyście z tego sens swego życia.

Przekrzywiła lekko głowę, jakby czegoś nasłuchiwała.

– Moja matka była Indianką czystej krwi, nazywała się Wysoka Łania. Zażywała temporaxal tak jak tysiące kobiet w tamtym okresie. Nie wiedziała, że reakcja organizmu na lek zabije jedno jej dziecko, a z drugiego uczyni potwora, cśś... Nie przerywaj, tak miałam siostrę bliźniaczkę. Miała mniej szczęścia, a może więcej, zależy jak na to patrzeć. Kiedy się urodziłam, rada szczepu zebrała się, żeby zdecydować, co ze mną zrobić. Prawo i tradycja były jasne, matka powinna wynieść mnie na pustynię i zostawić. Mogli tak zrobić, nikt by się nie dowiedział, że urodziłam się żywa. Ale wtedy przyszła moja babka, stara, mądra kobieta i przypomniała im legendę o dziecku, które urodziło się bez rąk i nóg, lecz Wielki Manitou wysłuchał prośb jego matki i zamienił je w jastrzębia. Więc okazali litość i zamiast być posiłkiem dla szakali, trafiłam do szpitala. Podobno moja babka była czarownicą, miała prorocze sny. Tylko ona odwiedzała mnie w szpitalu i później, gdy trafiłam do ośrodka dla dzieci upośledzonych. To ona nadała mi imię,

nie mogła mnie dotknąć, więc odprawiła stosowne obrzędy wokół kojca. Tak zostałam Okrucem Wiatru, to imię z innej indiańskiej bajki.

– Myślałem, że to twój pseudonim.

– Teraz już wiesz. A co do indiańskich legend, to jedna ocaliła mi życie, dzięki drugiej otrzymałam imię, może ta trzecia też mi coś da.

– Och, proszę. Ja nawet rozumiem, do czego zmierza Tancerka. Wiem tylko, że chce odejść z hukiem i to wielkim. Ale nie wciskajmy do tego na siłę jakiejś mistyki.

– To nasza szansa.

– Na co? Czy ty naprawdę wierzysz, że istnieje miejsce, w którym kondory wznoszą się wyżej i wyżej, aż sięgają gwiazd i wiecznie szybują pomiędzy nimi? I że Chmurołap już tam poleciał? Posłuchaj, jak to brzmi.

– W twoich ustach, paskudnie.

– Raczej, logicznie.

Uśmiechnęła się smutno.

– Nie mogę cię zmusić, żebyś uwierzył.

– Nie jestem Indianinem.

– To bez znaczenia. Polecisz?

Przypomniał sobie łagodne podmuchy wiatru i potężne skrzydła ujarzmiające powietrze.

– Jeśli będę miał szczęście pożyję jeszcze trzy, cztery lata, cały czas w kojcu. Niewiele mam do stracenia.

Nie dała się zbyć.

– Polecisz?

– Jeśli się okaże, że chcą nas załatwić... Też lubię głośne zakończenia.

– Lepsze to niż nic – westchnęła lekko. – Znajdę to miejsce, John. I polecimy tam razem.

Chmurołapowi się przecież udało.

– On....

Chciał jej powiedzieć, że Chmurołap od pół roku leży w dżungli, w szczątkach swojego szybowca, ale powstrzymał go wyraz jej twarzy.

– On poleciał, John, wiem to, czuję, że nie zginął.

Nigdy zresztą nie znaleziono jego maszyny. Myślę, że kiedy tam dolecimy, będzie na nas czekał. Wierzysz mi?

Objął ją i jeszcze raz przytulił.

– Chciałbym. I chciałbym kiedyś móc cię dotknąć bez pośrednictwa sieci.

Uśmiechnęła się tak, że na chwilę zamarło w nim serce...

– Nie chciałbyś. Uwierz mi, naprawdę nie chciałbyś tego.

Otworzył usta, zamknęła mu je dłonią.

– Nic nie mów, po prostu mi zaufaj, choć w tej jednej sprawie mi zaufaj.

Skinął głową, czując, że dotknął jakiejś bardzo dużej rany. I przeklinając się w myślach za to.

– Twoje imię, Okrucu Wiatru, skąd się wzięło?

– Mówiłam już, to pewna stara indiańska bajka.

– Dzisiaj nigdzie się nie wybieram.

– Dobrze, opowiem ją bladej twarzy. Ale to naprawdę długa opowieść. Usiądź. Nie tu, po przeciwnej stronie ogniska, jeśli łaska.

– Tam nie ma na czym.

– Nosisz stosowny przyrząd ze sobą jak widzę.

Nazywa się tyłek. O tak, dobrze. Dawno, dawno temu żyła sobie mała dziewczynka...



Carlson siedział przed hangarem, popijając tequilę i gapiąc się za zachód słońca. Był akurat jeden z tych nielicznych, bezchmurnych dni i ognistoczerwony krąg wisiał w całej okazałości nad horyzontem.

– Marshall na to nie pójdzie.

Bob Sunwood pociągnął ze swojej szklaneczki.

– Zrobiłem już bilans kosztów. Trzy loty śmigłowców zamiast dwunastu. Minus przebudowanie co najmniej pięciu maszyn tak, żeby mogły zabrać czynne kojce. Do tego szybkość i dyskrecja.

Przenoszenie kojców z lokatorami zawsze jest kłopotliwe i zajmuje dużo czasu. A tak, łóżeczka będą już na nich czekały w samolocie, załadujemy ich raz dwa i po sprawie.

– Jak konkretnie to sobie wyobrażasz?

– Śmigłowce z pustymi kojcami wylecą jakąś godzinę przed szybowcami. Zabiorą też tych dwóch pilotów, dla których nie starczy maszyn. Nie wiem jeszcze, którzy to będą, myślę jednak, że sami powinni o tym zdecydować.

– Pobią się o to.

– Przecież i tak nie mogą sobie zrobić krzywdy, racja?

– Fakt. Upchniesz dwa czynne kojce do jednego śmigłowca?

– Da się zrobić. Resztę zabierzemy wyłączone.

Uwzględniając różnicę prędkości, w San Fernandez śmigłowce będą trzy godziny przed szybowcami.

Zdążymy załadować kojce do samolotu i podłączyć do systemu. Szybowce przylecą, w pół godziny przeniesiemy ich do łóżek, potem jeszcze jakieś trzy, cztery godziny na spakowanie „latawców” i w drogę.

Carlson sięgnął do poręcznej lodówki i dolał sobie alkoholu. Wyciągnął pytająco butelkę w stronę sierżanta.

– Nie, dzięki. Mam dzisiaj jeszcze sporo pracy.

– Chyba wiem, kto polecą śmigłowcem. Ciągłe nie możemy dobrać Okrucu Wiatru.

– Myślisz... myślisz, że to już koniec? Wzruszył ramionami.

– Ona ma już prawie dwadzieścia dwa lata. A choroba się rozwija, wystąpiły duże deformacje kośćca, zwłaszcza czaszki. To prawdziwy cud, że jeszcze żyje.

Sunwood spochmurniał.

– Tylko dwadzieścia dwa – powtórzył jak echo. – Taka młoda.

– Oni wszyscy są młodzi, Bob. Młodzi, chorzy i kalecy. I na pewno żadne z nich nie przeżyje najbliższych pięciu lat. A jak zamkną ich w jakimś szpitaliku, to nawet dwóch.

– Wiem o tym.

Carlson jakby nie słyszał.

– Wiesz, jak to się zaczęło? Od grypy, zwykłej, cholernej grypy i superlekarstwa na nią. Temporaxal, cudowny środek, tylko nikt nie wiedział, że w połączeniu z pewnymi lekami może wywołać komplikacje w czasie ciąży. I wiesz, co jest najgorsze? Że przez cztery lata nikt nie łączył przypadków deformacji płodów z temporaxalem. Sprzedawali go nadal. Dopiero badania genetyczne wykazały przyczynę.

– Słyszałem o tej historii. Kto właściwie o niej nie słyszał?

– A choćby i oni. – Carlson skinął głową w kierunku baraków marines. – Większość to rówieśnicy naszych pilotów, po prostu mieli szczęście, że ich matki nie miały grypy w czasie ciąży. Oni nie słyszeli, bo tą sprawą nikt się nie chwali. A za parę lat nikt już nie będzie pamiętał o dzieciach temporaxalu.

– Po co właściwie mi to mówisz?

Carlson spojrział na niego z dziwnym uśmiechem.

– Jako psycholog powinienem chyba postawić sobie diagnozę. Ale szkoda mi na to czasu. Jako Dawid Carlson stwierdzam, że muszę się po prostu wygadać.

Kolejny rozdział mojego życia się kończy, dobrze byłoby wyrzucić z człowieka to, co go dusi, a potem schlać się na umór. Chociaż nie będę się upierał przy tej kolejności.

Wypił jednym haustem pół szklaneczki tequili, zatrzęsło nim, dolał sobie do pełna.

– Wiesz, ilu się ich urodziło? Znaczą żywych? Tysiąc trzysta trzydzieścioro ósmioro. Połowa zmarła w ciągu doby, z reszty, większość nie dożyła roku. Z tych trzystu czterdziestu, które miały pecha i nie zmarły, jedna trzecia wegetowała na poziomie sałaty. Niezły wynik, co? Osiemnaście procent sprawnych umysłowo, kalekich dzieci skazanych na powolne konanie w przepelnionych inkubatorach. Widziałem salę gdzie je trzymano. Bród, smród, ciemność. I cztery zabiegane pielęgniarki bez dyplomów, mające wszystko gdzieś.

To głównie dlatego wziąłem udział w tym programie.

„Nocne Oczy” dawały szansę chociaż części z nich.

Zaniósł się nieprzyjemnym, pijackim rechotem.

– Gdybym wtedy wiedział. Wiesz, ilu zmarło pod nożem Alicji? Czterdziestu sześciu. Eksperymentowaliśmy na żywych mózgach, wtykając tu i tam elektrody i obserwując jak reagują. Następna grupa przeżyła, ale dołączyła do uprawy warzyw. Dopiero po dwóch latach udało nam się uzyskać częściowe połączenie ludzkiego mózgu z komputerem. Ogromny sukces! Triumf nauki! Nobel w zasięgu ręki!

– Przy każdym zdaniu wymachiwał ręką, rozlewając alkohol. – I co? I nic! Tajne wojskowe badania to droga do moralnego kaca, a nie do sławy.

– Jesteś pijany.

– Ależ skąd, jedna butelczyna mnie nie załatwi. – Kiwnął się niebezpiecznie. – Mam łeb jak głaz.

– W to akurat uwierzę. – Sunwood sięgnął za siebie i podał mu kopertę. – Tu jest projekt planu ewakuacji. I wyliczenie kosztów. Podpisz się pod tym i podsuń to Marshallowi. Jeśli zrobisz to w odpowiedni sposób, może się zgodzi.

Carlson skinął głową.

– Jutro. W końcu, psiakrew, należy im się ten ostatni lot.

– Tak, komu jak komu, ale im się należy.

Obudził się ze snu bez marzeń, od razu czujny i spięty. Coś się miało wydarzyć. Rzadko miewał przeczucia, ale zazwyczaj się sprawdzały. Na razie nic jednak nie wskazywało na koniec świata albo coś w tym stylu, więc spokojnie uruchomił automatykę kojca.

Poranny rytuał był prosty, śniadanie, przewód podający papkę warzywną z dodatkiem jakiegoś mięsa.

Dzisiaj serwowano coś o smaku brokuł, marchwi i kurczaka, więc na pewno był czwartek. Potem problemy związane z poprzednimi posiłkami, pielucha z ssawką była naprawdę wspaniałym wynalazkiem.

Następnie zastrzyk, nie wszystkie leki mógł przyjmować doustnie i na końcu zawsze ten sam damski głos pytający: „Jak się dzisiaj czujesz, Johnny?”

Oczywiście odpowiadał, że dobrze. Już dawno stracił nadzieję, że automat przestanie używać zdrobnienia.

Akurat po raz tysięczny uspokajał elektroniczną pielęgniarkę, gdy zaświecił sygnał wywołania.

Natychmiast wszedł w sieć.

Pierwsza powitała go Madonna.

– No, nareszcie, dlaczego to tak długo trwało? – Dziś była ostrzyżoną na jeża blondynką z zabójczym makijażem.

– Widzę, że wiotkie piękności wyszły już z mody.

– Są słabe i głupie. Dzisiaj muszą być twarda jak stal.

Oho, najwyraźniej przecucie go nie zawiodło.

– Gdzie reszta?

– Tam. – Za nią pojawiła się zwykła, drewniana chata z połowy XIX wieku. Tak przynajmniej sądził. – No to chodźmy.

W chacie nie było żadnych sprzętów. Tylko podłoga, cztery ściany i sufit. Na dodatek wszystko gładkie, dwuwymiarowe. Ktoś odwalił fuszerkę.

Tancerka zauważyła jego wzrok.

– Ty też? Miałam tylko kilka minut.

– Przecież nic nie mówię.

– Ale patrzysz.

– Dobra, dobra, już nie będę. Po co to zebranie?

Tancerka powiodła spojrzeniem po wszystkich pilotach.

Była już cała dziesiątka. Linie podziałów w grupie przebiegały dość wyraźnie, Gallhager, Tygrys i Puszek trzymali się na uboczu, blisko drzwi. Alibaba, Spitfire i dziewczyny tworzyli drugą grupę. Baron stał pomiędzy oboma obozami, w mundurze pułkownika sił lotniczych, z niezwykłą jak na niego powagą na twarzy.

Tancerka zrobiła krok do przodu.

– Mają zlikwidować jednostkę, to pewne.

Gdyby oświadczyła, że zamierza kandydować do senatu, efekt byłby mniejszy. Niemal wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Nad narastający zgłębł wybił się głos Gallhagera.

– Kłamiesz!

– Nie, ona mówi prawdę. – To był Baron.

– Jednostka ma zostać rozwiązana. Maszyny idą do magazynów, my do szpitala dla weteranów z upośledzeniem umysłowym.

– Skąd wiesz? – Głos Gallhagera zaczął zahaczać o falset. Był naprawdę zdenerwowany.

– Od Carlsona, a on od Marshalla. Rozkazy przyszły wczoraj wieczorem.

– Załatwili nas. – Puszek splunął na podłogę. – Banda pierdolonych skurwysynów. Półtora roku służby i mamy zdechnąć w szpitalu dla czubków.

Okruch Wiatru wysunęła się przed Tancerkę. Jej ślepe oczy nadal robiły piorunujące wrażenie.

– To nie potrwa długo, Jack, program medyczny został ograniczony do minimum.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Co przez to rozumiesz?

– Że nie będą już wydawać dziesięciu kawałków tygodniowo na utrzymanie nas przy życiu. Ile ci zostało czasu?

– Jakieś cztery, może sześć lat.

– Podziel więc sobie to przez dwa albo trzy. Bardzo bolesne trzy, aspiryna nie jest tak skuteczna jak paradontaxil.

Zacisnął szczęki.

– Jak śmieci...

– Tak Jack, jak śmieci.

Przez kilka chwil jego twarz wyglądała wręcz przerażająco.

– Co nam pozostało?

– Przecież wiesz.

Uśmiechnął się jak szaleniec.

– Jeśli ci uwierzę, to będzie znaczyło, że szpital dla czubków jest dla mnie właściwym miejscem.

– Nie musisz wierzyć, jutro sam dokonasz wyboru.

– Co będzie jutro? – Tygrys wypadłby lepiej, gdyby nie załamał mu się głos.

– Szybowce mają zostać dostarczone do San Fernandez, stamtąd transportowcem polecą do Stanów.

Ale drogę stąd do miasta przelecą same.

– Chcesz powiedzieć, że pozwolą nam polecieć?

– Tak, zwrócą nam skrzydła. Co prawda tylko na chwilę, ale zrobią to. Nie bądź taki dumny, Szalone Oko, to nie dlatego że armia nas docenia, tylko tak będzie po prostu taniej. Zamiast wysyłać zespół kilkunastu maszyn, które mogłyby zabrać szybowce i czynne kojce, wyślą tylko kilka zwykłych. Kojce dolecą na miejsce przed nami i zostaną tam uruchomione, a my dolecimy, że tak powiem, o własnych siłach.

– Dolecimy?

– Daj spokój, Jack, już to przerabialiśmy. Wiecie, co chcemy zrobić. Możecie polecieć z nami lub wracać do domu.

– My to znaczy kto?

Przesunęła się do grupy Tancerki. Puszek zrobił ironiczno-zdziwioną minę.

– Wy też, chłopaki?

Spitfire wzruszył ramionami.

– Zostało mi jeszcze ładnych parę lat, nie spędzę ich w kojcu. Jeśli nam się nie uda, zawsze mogę po prostu polatać chwilę nad dżunglą z włączonym radarem i poczekać na raketę.

– A ja jej po prostu wierzę. – Alibaba nie bawił się w żadne tłumaczenia.

Okruch Wiatru podziękowała mu uśmiechem.

Puszek spojrzał na Barona.

– A ty?

– Już mówiłem, nie wezmę w tym udziału.

Wymienili spojrzenia z Tancerką.

– Naprawdę mi przykro, Sue. Zresztą – zakaszłał dramatycznie – zostało mi już tylko osiem, dziewięć miesięcy. Jakoś wytrzymam.

Uśmiechnął się trochę krzywo.

– A poza tym, jeśli zrobicie to, co zamierzacie, będzie niezła chryja. Śledztwo i tak dalej. Chcę to zobaczyć, może nawet będą mnie przesłuchiwać. Ktoś musi im powiedzieć prawdę o nas, i o tym jak nas potraktowano. Wiem, wiem... – Uniósł dłoń, nie dopuszczając nikogo do słowa. – Pewnie i tak wyciszą całą sprawę, ale niech mają jak najwięcej kłopotów.

Tancerka próbowała coś powiedzieć, przerwał jej machnięciem ręki.

– Wiesz dobrze, że nie lubię pożegnań, mała – powiedział i zniknął.

Przez chwilę panowała cisza.

– No i dobrze. – Tygrys zatarł tłuste łapki. – I tak mamy tylko osiem maszyn.

– Tyyy! – To nie był krzyk, raczej wrzask furii.

Tancerka skoczyła jak pantera, długonoga, zwinna, szybka. W pełni zasługiwała na swój pseudonim.

Kopnęła go w kolano, poprawiła w krocze, stęknął głucho i zgiął się jak scyzoryk, oszołomiony, niezdolny nawet do ucieczki poza sieć. Wbiła paznokcie w tłuste policzki,

zostawiając cztery krwawe pręgi, złapała za rękę, wykręciła i rzuciła nim o ścianę. Przyskoczyła bliżej, sycząc jak rozwścieczona kocica. – Ty kupo śmierdzącego ścierwa! Nie dorastasz mu do pięt! Żaden z was!

Spojrzała po wszystkich i Kowboj zdziwił się, jak może cokolwiek widzieć przez łzy. Nikt się nie poruszał. Odwróciła się do Tygrysa. Skulił się momentalnie, osłaniając twarz rękami.

– Siedź tu i nie wąż się nawet beknać, bo pokażę ci, że istnieje wirtualna śmierć.

Podeszła do Madonny, przez chwilę wyglądało na to, że zdoła zapanować nad emocjami, nagle jednak załamała się, rzuciła na szyję blondynce i zaczęła płakać. Puszek odchrząknął. – Z wrodzonym sobie wdziękiem, Tygrys poruszył ważną kwestię. – Zerknął na trzęsącego się grubasa. – Nadal mamy o dwa szybowce za mało, tak czy siak, ktoś będzie musiał zostać.

Okruch Wiatru otarła oczy.

– Pierwszego ochotnika już pożegnaliśmy.

– Kto poleci jego maszyną?

– John.

Gallhager poczerwieniał.

– Co to, kurwa, jest? Kramik zakochanych?

– Zamknij się, Szalone Oko, albo pożałujesz. Baron życzył sobie, żeby to John poleciał jego maszyną.

Kowboj zarejestrował wyraz ulgi na twarzy Alibaby.

Gallhager jednak nie zamierzał ustąpić.

– A ja?

– A czy gdziekolwiek się wybierasz?

Zrobił krok do przodu.

– Nie dam ci się uziemić, ty meksykańska suko. Albo polecę, albo nikt nie oderwie się od ziemi.

– Wydasz nas? – Okruch Wiatru uśmiechnęła się niewinnie, słodko, przerażająco.

Gallhager był zbyt wściekły, żeby się przestraszyć.

– Pamiętam jej wykład o lojalności. – Wskazał na płaczącą Tancerkę. – Nic wam nie jestem winien.

– Rozwaliłeś maszynę przy lądowaniu. Ktoś mógłby stwierdzić, że sam się uziemiłeś.

Złożył ręce na piersi. Na twarz wypełził mu wredny uśmiešek.

– No i co z tego, skarbie? Jeśli mam zgnić na ziemi, wolę to zrobić w towarzystwie. Baron jest raczej kiepskim kompanem. A może... – Odwrócił się do Tancerki. – Jeśli ona go tak lubi to niech też zostanie.

Okruch Wiatru powoli skinęła głową, stanęła na palcach, przeciągnęła się, sięgnęła do włosów i wyjęła jedno ze swoich orlich piór.

– Dlaczego robisz problemy, Gallhager? Przecież zawsze chciałeś być wzorowym żołnierzem, pupilkiem generała. Powinieneś być szczęśliwy, mogąc wykonywać rozkazy.

– Pieprzę rozkazy. Nie pozwolę się wam wyrolować.

Kowboj zrozumiał, że Szalone Oko jest przede wszystkim przerażony. Przed chwilą dotarło do niego, że armia, w którą zawsze wierzył, wyparła się go, zdradziła i porzuciła. Dla kogoś takiego jak Gallhager, było to gorsze niż koniec świata. Był przestraszony, zdesperowany i niebezpieczny. Mógł ich wydać.

– Odpuść sobie, Gallhager. – Okruch Wiatru wciąż bawiła się swoim piórem. – Wróc do kojca i zapomnij o wszystkim. – W jej głosie czaiło się coś okropnego.

– Pieprzę cię. Masz znaleźć dla mnie szybowiec, seniorita Cervales.

– Popelniasz błąd, Peter. – Szyderstwo nie robiło na niej wrażenia.

– Pieprzę cię – powtarzał to jak zepsuta zabawka. Nie zauważył, jak w ciągu zaledwie paru chwil zmieniła się sytuacja. Tygrys, wciąż jeszcze z maltretowany, przesunął się w tym czasie w stronę grupy Tancerki, zachowując jednak od niej samej rozsądny dystans.

Puszek otwarcie przeszedł na drugą stronę. W obliczu zagrożenia ludzie szybko się jednoczą. Gallhager został sam.

– I co teraz zrobisz, pindo? He? Masz czas do wieczora. Nie obchodzi mnie, kto zrezygnuje, chcę dostać szybowiec. – Zaczął znikać, zanim jednak pozostawił po sobie pustkę, coś pomknęło w jego stronę. Orle pióro.

Gallhager wrzasnął nieludzko, zatańczył w miejscu i zatrzymał się po tej stronie. Przez chwilę chwiał się na nogach, wreszcie upadł na czworaki, dysząc spazmatycznie. Podłoga wypuściła krótkie macki, łapiąc go za stopy i dłonie.

– Wiesz, Szalone Oko, tu jesteś tylko ciągiem impulsów, odrobiną informacji w sieci. – Okruch Wiatru podeszła do niego, przykucnęła. – Zdaje się, że o tym zapomniałeś.

Jej głos nie zmienił się ani na jotę, ciągle był cichy i spokojny.

– Z drugiej strony patrząc, na zewnątrz też jesteś tylko odrobiną informacji, zawartą w genach. Jesteś powielonym ileś tam razy ciągiem danych i garścią neuronów połączonych w przypadkowy sposób. Ciekawe, czy twój mózg rozróżnia tu od tam.

Uniósł powoli twarz, wykrzywioną bólem, mokrą od potu. Patrzył na nianie rozumiejącym spojrzeniem.

– Boli, prawda? Zmusiłeś mnie, żebym przecięła kilka łączy neuronowych twojej taśmy. Sam rozumiesz, nie możemy pozwolić ci na zdradę.

Próbował coś powiedzieć.

– Tak, wiem, to był tylko żart, tak naprawdę chciałeś zostać tu i polecieć razem z Baronem. Tylko jakoś ci teraz nie wierzę.

Wykrzywił się okropnie.

– Tylko bez przekleństw, Gallhager. Chciałeś odebrać nam naszą ostatnią szansę. Jaka powinna być za to kara?

Pierwsza odezwała się Madonna.

– Śmierć.

– Śmierć – powtórzyli jednocześnie Alibaba i Spitfire. Tancerka tylko skinęła głową.

Puszek przez chwilę się wahał, otwierał i zamykał usta. Wreszcie wydusił.

– Śmierć.

– Tak... śmierć – Tygrys wymamrotał to, uciekając wzrokiem w bok.

Wszyscy patrzyli na niego. Kowboj czuł, że jeśli do nich dołączy, będzie to tak, jakby sam wydał wyrok.

– Nie ma innego wyjścia.

Okruch Wiatru pokręciła głową. Pierwszy raz zobaczył ją w ten sposób, jako indiańską wojowniczkę.

Brakowało jej tylko noża do skalpowania.

– Zatem śmierć.

Zdumiał się własnym brakiem reakcji. Tylko tyle? Jedno słowo i już?

– Słyszałeś, Gallhager? Jak tam twoje serce? Wyciągnęła rękę i dotknęła jego lewego boku.

Trzasnęła iskra, Gallhager rzucił się spazmatycznie i znieruchomiał. Jego ciało zaczęło blaknąć, po sekundzie jednak znów nabrało realności. Znów trzasnęła iskra, a potem jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze... Kowboj zamknął oczy, nie mogąc patrzeć na wstrząsane drgawkami, osmalone ciało. Wydawało się, że minęła wieczność, zanim ta upiorna scena się skończyła. Po którymś wyładowaniu nastąpiła cisza.

Otworzył oczy.

Okruh Wiatru wciąż kucąca na podłodze z ręką wyciągniętą w próżnię. Nagle opadła na czworaki wstrząsana torsjami. Program nie przewidywał jednak wirtualnych rzygowin. Przez dobre pół minuty nikt się nie ruszał. Okruh Wiatru złapała wreszcie oddech, podniosła się z podłogi, odwróciła ku reszcie.

Wyglądała przerażająco.

– Miał wadę serca – wyszeptwała. – Nie mógł znieść szoku i bólu. Ja nie chciałam... Myślałam... Ja... Och, wybaczcie mi.

I znikła.

– Co teraz? – Puszek był jak zawsze zasadniczy. – Czekamy?

Madonna pokręciła głową. Blond fryzura źle kontrastowała z jej nagłą, przeraźliwą błądzącością.

– Nie, Jack, ona już dzisiaj nie wróci. A na zewnątrz rozpęta się za chwilę piekło. Pewnie doktor Rogerstein uprawia właśnie bieg sprinterski.

Wizja pięćdziesięcioletniej, dwustupięćdziesięciofuntowej lekarki biegającej po bazie była nawet zabawna. Ale nikt się nie roześmiał.

– Jutro, o trzeciej po południu, jeśli nic się nie zmieni, wylecimy do San Fernandez. W powietrzu zadecydujecie, co będzie dalej. – Puszek skinął głową gdzieś w przestrzeń. – Pożyjemy, zobaczymy. Zresztą to był przecież tylko zwykły atak serca, prawda?

Cisza.

Kowboj nie czekał na innych, przeniósł się do Łowów. Nie dlatego, że miał nadzieję spotkać Okruh Wiatru, chciał po prostu być sam. Jego kojec był oddzielony od kojca Gallhagera tylko jednym stanowiskiem. Nie chciał oglądać tego, co tam się zaraz zacznie dziać.

Następnego dnia, przed hangarem ustawiono w szyku osiem szybowców. Czarne, matowe maszyny kryły swoich pilotów za ciemnymi owiewkami kabin.

Przed godziną z bazy odleciały trzy ciężki śmigłowce, unosząc większość techników, doktor Rogerstein, dziewięć kojców i Barona. Sunwood był zdziwiony, że to właśnie Baron zdecydował się zrezygnować z ostatniego lotu. Ale nie dociekał przyczyn, to była wewnętrzna sprawa grupy.

Carlson był nie mniej zdziwiony nagłym ozdrowieniem Okruhu Wiatru. Ale to było im akurat na rękę, po nieszczęśliwym odejściu Gallhagera nie mieliby pilota dla jednej maszyny, a śmigłowce i tak już były przepełnione. Nie dałby rady upchnąć w nich jeszcze jednego kojca i szybowca. I tak podłączenie kojca Barona sprawiło mu więcej problemów niż przypuszczał.

Godzinę temu, obaj z Carlsonem stali na lądowisku dla śmigłowców, salutując odlatującemu pilotowi.

Głupi i sentymentalny gest, powiedziałby Marshall. Ale on zawsze był dupkiem. Sunwood po raz ostatni obchodził szybowce, dokonując opukiwanego przeglądu. Maszyny były sprawdzone już ze sto razy przez automaty i czujniki pokładowe, ale zwyczaj osobistej kontroli sprzętu został mu jeszcze ze szkółki paralotniarskiej. Podchodził do każdego szybowca, postukując i kopiąc tu i tam. Baron stwierdził kiedyś, że jego metody badawcze są prymitywne, bolesne i zupełnie nieskuteczne, jednakże czuje się nieswój, jeśli ma lecieć na misję bez zwyczajowej porcji klepnięć i kopniaków.

Wiedział, że zza czarnych osłon uważnie obserwuje go osiem par oczu. Miał ochotę pozdrowić ich uspokajającym machnięciem ręki, ale wyglądałoby to jeszcze głupiej niż salutowanie kuprowi śmigłowca.

Tak na oko wszystko było w porządku. Odezwał się brzęczyk jego notebooka. Wyjął płaski ekranik z futerału i pstryknął w niego palcem. Po zielonym ekranie popłynęły litery.

„Długo jeszcze będziecie nas tu trzymać? Skrzydła mi zdrętwiały”.

Rozejrzał się, antena kierunkowa najbliższego szybowca była zwrócona w jego stronę. Okruch Wiatru.

– Dlaczego nie raczysz się pokazać, moja droga? – Na ekranie wykwitła kolorowa twarz. Wzdrygnął się.

Pomalowana w czarne, czerwone i białe pasy wyglądała paskudnie. – Wybierasz się na wojenną ścieżkę?

– Wstąpiłam na nią jeszcze przed urodzeniem. A od tamtej pory każdy mój dzień to bitwa.

– Ten tekst bardziej pasuje do Tancerki. Ciesz się, że wsadziliśmy cię do kabiny po tym numerze z ucieczką w sieć.

– Cieszę się, sierzancie. I jestem wdzięczna za poparcie. Kiedy startujemy?

– Jak tylko przyjdzie zgoda ze sztabu. A oni pewnie czekają, aż wszystkie śmigłowce dotrą do San Fernandez. Powinny tam być za dziesięć minut.

– Tyle chyba jeszcze wytrzymam.

Na jej twarzy pojawiła się inna wiadomość.

– Oho, wzywają mnie do szefa.

Zawahała się przez chwilę.

– Niech pan nie wyłącza notebooka.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. – Pogroził jej palcem.

– Pierwszym stopniem do piekła jest temporaxal, sierzancie.

Jego palec zawisł nad ekranem.

– Niech ci będzie, Mario. Myślisz, że odbierzesz coś z takiej odległości?

– Mam najlepszą antenę kierunkową na świecie.

– Okay, jak tylko wyjdę z tej żelaznej puszki, pozwolę ci pogrzebać w pamięci. – Schował włączone urządzenie do futerału.

Pół mili dzielące hangar od sztabu przebył w ciągu paru minut, w drzwiach zderzył się z wybiegającym porucznikiem marines. Oficer nie zrugął go za brak szacunku, tylko pomknął do kwater żołnierzy. W środku było trzech ludzi, Marshall, pułkownik Geoffreys i Carlson, blade, roztrzęsiony, wyglądał jak kupa gówna. Marshall zignorował jego honory.

– Spocznij, Sunwood. I słuchaj.

Obrócił się do monitora. Ekran ozdobiła ostrzyżona najeża męska twarz. Sieciowa maska Gallhagera.

– To miejsce nazywa się Oka-la-hoys, i coś tam jeszcze. Indianie podobno wierzyli, że kondory, orły i inne wielkie ptaki, gdy już są zbyt stare, by polować, lecą tam i szybują tak długo, aż wzniosą się do gwiazd. Okruch Wiatru, Tancerka i Madonna zupełnie oszalały na punkcie tej świrniętej historii. Myślę, panie generale, że spróbują porwać szybowce i zdezerterować. Postaram się dowiedzieć więcej, ale gdybym zginął, zostawiam tę wiadomość w Necie. Mam nadzieję...

Obraz znieruchomiał. Niepotrzebna była wiedza z psychologii, żeby dostrzec, że Marshall jest na granicy eksplozji. W jego oczach błyszczała furia.

– Kto, sierzancie – wycedził – kto przygotował plan odesłania tych potworków maszynami za sto milionów każda?

– Ja, sir.

– Doprawdy? – Po pytaniu zadany takim tonem, większość podkomendnych generała znalazłaby cichy kącik i palnęła sobie w łeb. – Więc zostaniecie postawieni w stan oskarżenia pod zarzutem udziału w spisku, mającym na celu zdradę, dezercję i przekazanie nieprzyjacielowi najnowszych technik wojskowych.



Bob Sunwood nie był jednak zastraszonym oficerkiem.

– To nie ja zaakceptowałem ten projekt, sir.

Marshall zrobił się siny.

– Zamknij się! Postaram się, żebyś trafił przed sąd wojskowy.

– Świetnie, generale, opowiem komisji, jak wykończono najlepszą jednostkę rozpoznawczą w dziejach armii.

Marshall rozpiął kaburę i wymierzył w niego służbowy pistolet.

– Martwi zdrajcy nie składają zeznań.

David Carlson poprawił okulary.

– Mnie też pan zastrzeli, sir? – O dziwo, nawet nie trząśł mu się głos.

Pułkownik Geoffreys gapił się to na Marshalla, to na nich z półotwartymi ustami. Był nowy w jednostce, nie znał reguł.

– Panie generale – wydukał. – To chyba nie...

– Niech pan się zamknie, pułkowniku. – Broń była teraz wymierzona w niego. – Ci dwaj to zdrajcy i trzeba ich wyeliminować.

– Ale...

– Żadnych ale, to jest wojna. Za kilka minut oddział marines podejdzie z tyłu pod hangar i połamie skrzydła waszym ptaszkom.

Sunwood powoli wyciągnął z futerału notebook i pokazał generałowi.

– Cała ta rozmowa została nagrana, sir. Pistolet był wymierzony dokładnie w jego głowę.

– Takie urządzenie jest podobno okropnie delikatne, sierżancie. Może zostać upuszczone, rozbić się lub ktoś może je przypadkiem nadepnąć.

– Wiem, sir. – Uruchomił nadawanie.

Zobaczmy ile naprawdę warte są twoje anteny – zdążył pomyśleć, zanim trafił go pocisk.

Poleciał w tył, upuszczając komputer. Zobaczył jeszcze, jak urządzenie rozlatuje się na kawałki trafione następną kulą, i padł na podłogę.

Ciemność była zimna i ponura. Zanim ją opuścił, zdążył przebyć wszystkie etapy swojego życia i to wielokrotnie. W końcu jednak dotarł po raz kolejny do momentu, gdy Marshall go postrzelił, zakotwiczył się i ruszył dalej. Gdzieś obok monotonnie popiskiwało jakieś tajemnicze urządzenie. Nie otwierał oczu.

– Nareszcie pan do nas dołączył. – Głos był cichy, łagodny, i bez wątpienia kobiecy. – Jestem pułkownik Sara O’Neil z J.A.G., prowadzę dochodzenie w sprawie zaginięcia ośmiu maszyn typu G-22b.

Minęła dłuższa chwila, nim dotarło do niego pełne znaczenie tych słów. Uśmiechnął się lekko.

– Tak. Ma pan się z czego cieszyć, sierżancie. Kula przeszła o włos obok serca. Generał Marshall przebywa teraz na obserwacji psychiatrycznej, stres i tak dalej, rozumie pan. A poza tym, kiedy pułkownik Geoffreys i kapitan Carlson go rozbajali, użyli, hm... środków przymusu bezpośredniego. Ale o tym, co się wtedy działo, porozmawiamy później. Teraz niech pan odpoczywa, mam mnóstwo pytań na najbliższe dni.

Poczuł delikatne dotknięcie na twarzy.

– A tak między nami, Bob, nie wiesz, gdzie ci szaleńcy mogli polecieć? Nie znaleźliśmy szczątków ani jednej maszyny. Ale w końcu te szybowce są niemal niewykrywalne, a jeśli poleciali nad morze lub, co gorsze, do którejś z baz partyzantów... – zawiesiła znacząco głos.

Chwila ciszy.

– Więc jak? Nie domyślasz się, gdzie polecieci?

Nie odpowiedział.

– No to do jutra. Jak poczujesz się lepiej, może sobie coś przypomnisz?

Gdy wyszła, wyszczerzył się pełnym, radosnym uśmiechem. Jak to, gdzie polecieci? Tam, gdzie orły, kondory i niechciane dzieci.

Do gwiazd, pani pułkownik.

Do gwiazd.